ŻYCIE WARSZAWY NR 93

ŻYCIE i NOWOCZESNOŚĆ

NR 413

20 KWIETNIA 1978 R.

SPOKOJNIEJ O KONTENERACH

JACEK BRDULAK — KRZYSZTOF FRONCZAK

Jedną z konsekwencji dynamicznego rozwoju współpracy krajów członkowskich Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (RWPG) jest szybki przyrost przewozów towarowych między tymi krajami. Szacuje się, że przewozy między krajami RWPG podwoją się do 1980 r., osiągając wielkość ponad 300 mln t. ładunków. Dla zapewnienia sprawnej obsługi transportowej tej masy towarowej konieczna jest budowa i modernizacja magistralnych linii kolejowych, zwiększenie potencjału przeładunkowego portów morskich, rozszerzenie i modernizacja sieci dróg, a także poszukiwanie sposobów usprawnienia transportu w oparciu o już istniejącą infrastrukturę transportową.

JEDNYM z tych sposobów jest wprowadzenie na szerszą skalę konteneryzacji, która upraszcza czynności przeładunkowe w punktach zmiany środka transportu. Korzyści wynikające z wprowadzenia do transportu kontenerów zostały szybko docenione przez kraje RWPG.

W grudniu 1971 r. zawarto międzyrządowe porozumienie o wprowadzeniu jednolitego systemu transportu kontenerowego w krajach wspólnoty socjalistycznej. Realizacja porozumienia przebiega dość różnie w poszczególnych krajach. Na przykład w Bułgarii buduje się morski terminal kontenerowy w Warnie, a także przewiduje się uzbrojenie w kontenerowe urządzenia przeładunkowe 10 stacji kolejowych. Do 1980 roku, konteneryzacja w bułgarskim transporcie obejmie 18—20 proc. przewożonych ładunków.

Osiągnięcia NRD w zakresie konteneryzacji są ogólnie znane. Przypomnijmy tylko, że obecnie eksploatuje się w NRD 13 tys. wielkich kontenerów, a obroty zagraniczne ładunków w kontenerach wzrosły w latach 1971—1976 sześciokrotnie. Codziennie kursuje u naszych zachodnich sąsiadów 450 pociągów kontenerowych, w tym 70 proc. to pociągi nocne. Obsługuje się je na 27 kolejowych stacjach kontenerowych.

Również Związek Radziecki ma duże osiągnięcia we wprowadzaniu kontenerowego systemu transportowego. Należy zaznaczyć, że wielkie kontenery ISO zaczęto wprowadzać w ZSRR dopiero od 1971 r., lecz od początku na dużą skalę i co najważniejsze — bardzo konsekwentnie.

Łącznie, w ZSRR eksploatuje się około 900 tys. sztuk kontenerów. Przewozy sięgają 40 mln t ładunków skonteneryzowanych. W połowie lat siedemdziesiątych, w uniwersalnych kontenerach przewożono 90 proc. wyrobów poligraficznych, 85 proc. galanterii i trykotażu, 78 proc. ubrań, 54 proc. radioodbiorników i telewizorów. Efekty nie dały na siebie długo czekać. Stwierdzono, że przewóz 1 tys. ton ładunków w uniwersalnych kontenerach daje oszczędności na opakowaniu — 200 m sześc. drewna, 25 ton metalu (gwoździe, taśmy), 20 tys. m kw. tkanin, o łącznej wartości 22 tys. rubli. Największe korzyści osiągnięto dzięki skróceniu prac przeładunkowych drobnicy. O ile jeden pracownik ładunkowy w czasie 8-godzinnego dnia pracy przeładowuje 17 t towaru przy obsłudze krytego wagonu kolejowego, to wydajność tego samego człowieka przy zastosowaniu dźwigu z uchwytem automatycznym do przeładunku kontenerów średnich 3—5-tonowych wzrasta do 400 t. Suwnica dla wielkich kontenerów pozwala osiągnąć wydajność 1700 t w czasie roboczodniówki. Dzięki temu, czas obsługi wagonów kolejowych zmniejszył się 10-krotnie, samochodów ciężarowych 5-krotnie, statków 4-krotnie. Nic dziwnego, że w roku 1980 przewiduje się w ZSRR osiągnięcie 50 mln t przewozów skonteneryzowanych, a w dalszej przyszłości 7—8 razy więcej. Jednocześnie dużo uwagi poświęca się współpracy transportowej z zagranicą i to nie tylko z krajami RWPG.

W 1974 r. została uruchomiona transsyberyjska magistrala kontenerowa, łącząca port w Nachodce z Leningradem, o długości 13 870 km, przedłużona następnie połączeniami morskimi z Japonią i krajami Europy zachodniej. Wobec szybko rosnących przewozów kontenerowych na tej linii, podjęto obecnie starania, aby skrócić czas przewozu koleją na trasie Leningrad—Zatoka Wrangla z 12—14 dni do 7—10 dni. Można w tym miejscu tylko dodać, że w Polsce przewóz kontenera koleją z centrum kraju do portu trwa również 7 dni (!).

JAK więc przedstawia się wprowadzenie konteneryzacji w Polsce i jakie miejsce zajmie nasz kraj w jednolitym systemie kontenerowym krajów RWPG?

Optymistyczny okres początku lat siedemdziesiątych, związany z perspektywami rozwoju tej formy przewozów, mamy już chyba za sobą. Pozostały twarde realia: stagnacja w światowych przewozach morskich, zahamowane tempo wzrostu handlu światowego wskutek dekoniunktury w krajach zachodnich oraz już na krajowym podwórku — zbytnie przywiązanie użytkowników transportu do tradycji.

Zarządzenia wykonawcze Uchwały nr 163/1971 Rady Ministrów, które precyzowały kierunki rozwoju kontenerowego systemu transportowego (KST) w Polsce do końca roku 1975, zostały wykonane tylko częściowo. O ile planowane dostawy kontenerów, platform kolejowych „412 Z" i ciągników dla kontenerów 40-stopowych zostały zrealizowane w ponad 90 proc., to dostawy ciągników „Jelcz 317" tylko w 61 proc., naczep „NK 20" dla kontenerów 20-stopowych w 42 proc., a wozów piętrzących i wózków widłowych w ogóle nie dostarczono.

W transporcie morskim, PLO stały się posiadaczem 14 statków przystosowanych do przewozu kontenerów, jednakże struktura tej floty odbiegła daleko od przewidywanej. W sumie, statki te mogły zabrać jednorazowo 1750 kontenerów przeliczeniowych (TEU) zamiast planowanych 4200 TEU. W głębi kraju zbudowano 7 terminali kontenerowych i nawet jeden dodatkowy, graniczny, w Małaszewiczach, lecz żaden z ich nie ma możliwości obsługi największych kontenerów (40-stopowych) czy też specjalistycznych — chłodniczych. Ta i szereg innych przyczyn spowodowały, że plany przewozów ładunków skonteneryzowanych nie zostały wykonane. Najgorzej wyglądała sytuacja na odcinku nadań lądowych do państw socjalistycznych, gdzie zrealizowano plany tylko w 40 proc.

W OBECNĄ pięciolatkę wkroczyliśmy z bagażem nie rozwiązanych problemów w dziedzinie konteneryzacji. Najwięcej obaw budzi aktualny stan organizacyjno-

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

Efektywność w praktyce

CHLEBA NASZEGO... ŚWIEŻEGO

LESZEK CHMIELOWSKI

Pomijając dietetyków i paru oryginałów, cała reszta zjadaczy codziennego chleba z uporem upomina się w sklepach o pieczywo świeże. Jeżeli zaś stan świeżości uważany jest za podstawowe kryterium oceny jakości kupowanego chleba i bułek, to należałoby zapytać, jaki procent konsumentów wraca do domów z zadowoleniem dźwigając jeszcze ciepłe i pachnące bochenki.

ODPOWIEDZMY sobie na to pytanie nieco inaczej. Otóż obecnie, w skali całego kraju, niedobór zdolności produkcyjnych pieczywa w miastach kształtuje się w granicach 2 tys. ton. dziennie. W Warszawie — ok. 250 ton dziennie. Oczywiście nie oznacza to, że tyle chleba nam brakuje — z tym problemem bowiem uporaliśmy się już dawno. Oznacza to jednak, że 2 tys. ton chleba, co prawda, do sklepów dociera, ale, niestety, w stanie dalekim już od świeżości. Dla porównania — zdolność produkcyjna przemysłu piekarskiego (przy uwzględnieniu 16 godzinnego dnia pracy) wynosiła w ubiegłym roku 13 tys. 727 ton. Wskaźnik zmianowości wynosił w całym kraju 2,0 w pionie piekarni „Społem" nawet 2,40, w piekarniach CZSR „Samopomoc Chłopska" 1,96, a jedynie w piekarniach rzemieślniczych 1,32. Innymi słowy, jeżeli w całym kraju rzeczywista średnia ilość godzin pracy w ciągu doby wynosiła w ub. roku wspomniane 16 godzin, a w piekarniach „Społem" aż 19,5 godziny, to w piekarniach prywatnych tylko 11 godzin. I tu właśnie kryje się wyjaśnienie, dlaczego chleb ze sławnej już w Warszawie piekarni przy ul. Polnej, prowadzonej przez mistrza piekarskiego Tadeusza Kałasę, a także z innych piekarenek rzemieślniczych kusi świeżością, a chleb z piekarni uspołecznionych — nie zawsze.

Krótka kołdra?

Piekarnictwo bowiem, w odróżnieniu od hutnictwa i innych przemysłów, pracy na dwie zmiany nie lubi. Im mniej godzin mija od zakończenia wypieku do chwili kupna, tym dla chleba lepiej.

Rzecz jasna, trudno poprawić wskaźnik zmianowości, a tym samym i jakość pieczywa, bez piekarni. Aktualnie mamy w kraju 5567 piekarni, z czego 85 przemysłowych. Z tej liczby, 1128 zakładów znajduje się w gestii „Społem", 2007 piekarni posiada CZSR „Samopomoc Chłopska", a 2397 rzemiosło. Kłopotów przysparzają piekarzom ruchy ludnościowe związane z procesem postępującej urbanizacji kraju. Jeszcze w 1960 roku proporcje pomiędzy liczbą mieszkańców wsi i miast układały się mniej więcej jednakowo. Obecnie w miastach mieszka już ok. 6 mln ludzi więcej niż na wsi. Piekarnie wybudowane w ciągu ostatnich dwudziestu lat nie zapewniają jeszcze, niestety, prawidłowego zaopatrzenia tych sześciu dodatkowych milionów, jako że jednocześnie wiele zakładów zostało w tym czasie zlikwidowanych. Najczęściej na skutek wyburzeń. I stąd ten niezbyt korzystny wskaźnik zmianowości, jako rezultat „krótkiej kołdry". Stąd też potrzeba dalszych inwestycji. Aby radykalnie poprawić sytuację należałoby w latach 1980-1990 zwiększyć zdolności produkcyjne o 4700 ton na 16 godzin. W minionym 20-leciu oddaliśmy do eksploatacji piekarnie o łącznej wydajności 2700 ton na 16 godzin. Na uzyskanie 4700 ton zdolności produkcyjnych należałoby wydać ok. 20-25 mld złotych. W cenach z roku bieżącego. Ale kiedy przychodzi się do Komisji Planowania z takimi postulatami, urzędnicy bledną. Czasami piekarze słyszą i taką argumentację: jeżeli w latach 1971—1975 cała wasza branża otrzymała na inwestycje ok. 5 mld złotych, a na lata 1976—1980 ok. 8 mld złotych, to przecież powinno wam to wystarczyć. Owszem, ale przy uwzględnieniu pewnej drobnej różnicy: np. na wybudowaną 10 lat temu piekarnię przy ul. Belwederskiej w Warszawie wydaliśmy 42 mln złotych (łącznie z importowanymi urządzeniami) a obecnie taki sam obiekt kosztuje już ok. 150 mln złotych. Wzrosły koszty materiałów, robocizny, urządzeń. Kilka lat temu Zjednoczenie „Spomasz" brało za dzieżę do ciasta ok. 10 tysięcy złotych, a teraz chce już blisko 100 tysięcy zł.

Znaki zapytania

Jak więc w kontekście tych rosnących kosztów i trudności finansowych zapowiadają się inwestycje w piekarnictwie;

DOKOŃCZENIE NA STR. 3

Fot. Sławek Biegański



CHOROBA OŚMIU MILIONÓW

ALICJA DMUCHOWSKA

CO czwarty człowiek w Polsce cierpi na jedną z chorób reumatycznych. Atakują one zarówno dzieci i młodzież, jak ludzi dojrzałych i starszych. Każdy z nas musi się liczyć z niebezpieczeństwem, jakie stwarza reumatyzm, gdyż tylko niewiele osób omija ta choroba. A jednak jest ona niedostatecznie znana. Znacznie mniej o niej wiemy niż na przykład o chorobach serca, zakaźnych i innych. Dlatego też warto chyba zapoznać się z charakterem reumatyzmu i możliwością zapobiegania chorobie oraz sposobem niedopuszczania do jej rozwoju i ograniczania sprawności, które powoduje.

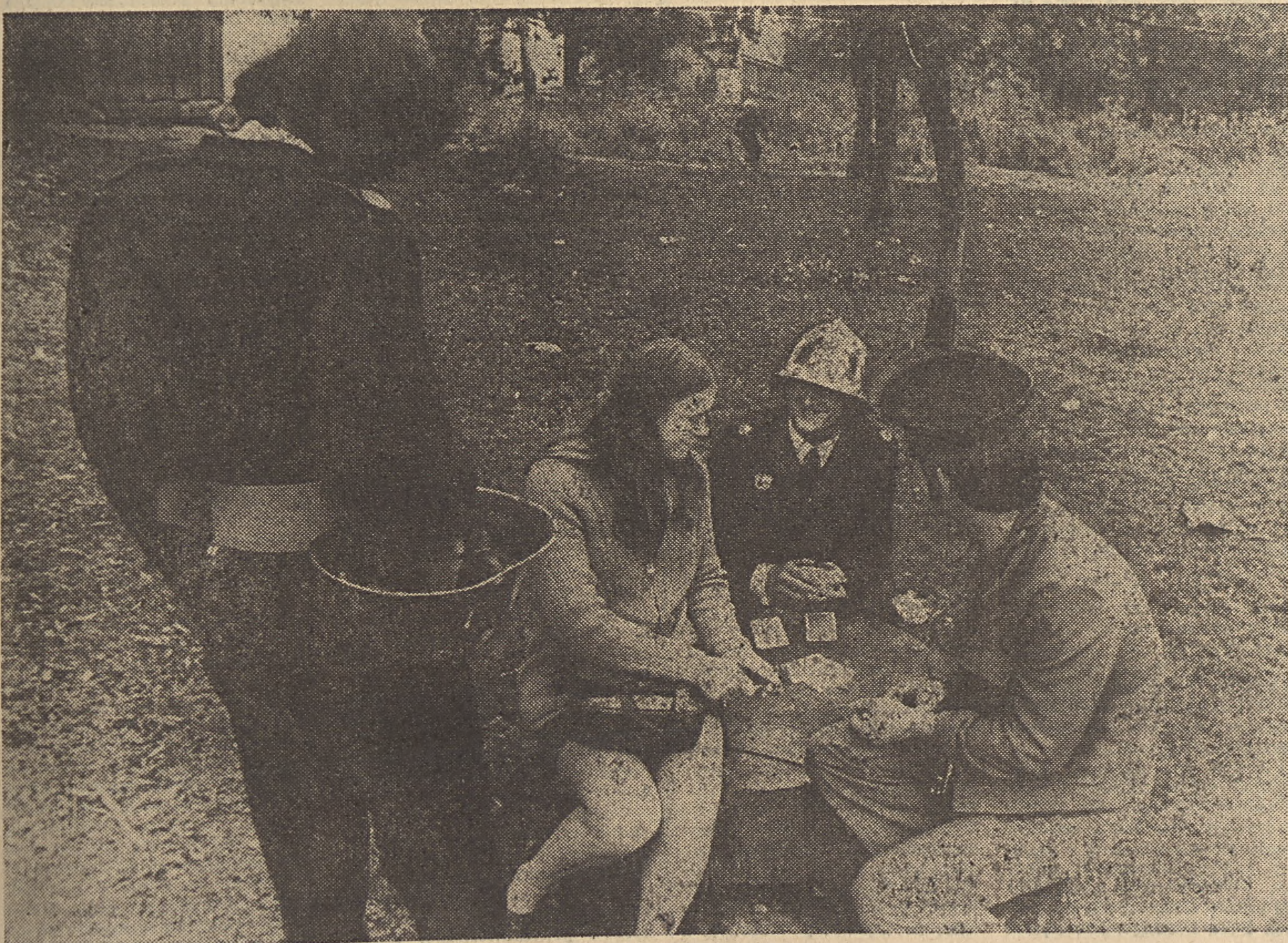
Gorączka reumatyczna jest to choroba, na którą zapadają głównie dzieci. Pojawia się w ok. 2 tygodnie po przebytej anginie lub zapaleniu gardła, wywołanym przez paciorkowce. Atakuje przede wszystkim serce, a manifestuje się bólami i obrzękiem stawów oraz gorączką. Nie leczona właściwie, doprowadza do powstania wady serca. Natomiast gdy w czasie anginy dziecko zażywa przepisane przez lekarza antybiotyki, zapobiega to na ogół pierwszemu rzutowni gorączki reumatycznej. Jeśli nie uda się go uniknąć, to podawanie przez dłuższy czas penicyliny o przedłużonym działaniu umożliwia całkowite wyleczenie. Choroba nie pozostawia wówczas po sobie żadnego śladu.

Reumatoidalne zapalenie stawów, zwane do niedawna gośćcem przewlekłym postępującym, należy do grupy przewlekłych chorób reumatycznych. Przyczyna tej choroby jest jeszcze nieznana. Przypuszcza się, że jest to najprawdopodobniej nieprawidłowa reakcja organizmu na infekcję wirusową. Na skutek procesów immunologicznych ustrój zaczyna produkować przeciwciała przeciw własnym tkankom. Jest to więc jedna z chorób z autoagresji. Atakuje częściej kobiety niż mężczyzn i zaczyna się najczęściej w wieku około 30—40 lat. Przebiega skrycie. Początkowo zwykle powoduje obrzęk stawów rąk i może doprowadzić do zniekształceń. Stopniowo atakuje coraz to inne stawy. Na reumatoidalne zapalenie stawów choruje około 1 proc. ludzi. W krajach o suchym, ciepłym klimacie choroba ta występuje rzadziej.

Natomiast **zesztywniające zapalenie stawów kręgosłupa** jest raczej chorobą mężczyzn. Rozpoczyna się około 20 roku życia bólami w okolicy krzyża i stopniowo prowadzi do ograniczenia ruchomości kręgosłupa. Uważa się, że do wystąpienia tej choroby konieczna jest predyspozycja genetyczna, a następnie czynnikiem przyczynowym jest prawdopodobnie także infekcja wirusowa. Udało się już ustalić, że u wszystkich chorych występuje jeden z antygenów układu zgodności tkankowej — antygen HLA — B27. W przypadku trudności w ustaleniu rozpoznania, obecność tego antygenu jest dodaktowym czynnikiem przemawiającym za tym, że pacjent cierpi na zesztywniające zapalenie stawów kręgosłupa. Drugą nową metodą diagnostyczną jest badanie kręgosłupa za pomocą izotopów, najczęściej Technetem 99 m. Badanie to wykazuje istnienie procesu zapalnego w obrębie stawów kręgosłupa wcześniej niż badanie radiologiczne.

Choroba zwyrodnieniowa stawów kręgosłupa pojawia się głównie u osób starszych, najczęściej około 50 roku życia. Charakteryzuje się bólami stawów i nieznacznie zmniejszoną ich ruchomością, ale nie daje zniekształceń, lecz tylko pewne pogrubienie stawów. Choroba ta nie powoduje poważniejszych następstw. Jedyny wyjątek stanowi zwyrodnienie stawów biodrowych, które może doprowadzić do kalectwa. Przyczyną tej choroby jest zużycie stawów i nadmierne lub nieprawidło-

DOKOŃCZENIE NA STR. 4



CZAS WOLNY—CZAS PUSTY

Rozmowa z prof. Antoniną Kłoskowską z Zakładu Socjologii Kultury UW

— Zaczynamy już dostrzegać, że mamy wolny czas i że ten wolny czas nam organizują. Czy w tej organizacji wolnego czasu upatruje Pani dobrodziejstwo, czy groźbę?

— Stwierdzono, że to co się określa jako **czas wolny** wiąże się bardzo silnie **z czasem pracy**, czyli z formą czasu podstawową dla określenia charakteru życia człowieka dojrzałego. Nie można więc powiedzieć, że czas wolny jest tym fragmentem życia, w którym człowiek wyraża się najpełniej i najswobodniej i w którym dopiero w istocie jest sobą.

— Więc czy jesteśmy niewolnikami pracy?

— Ona nas kształtuje. To, w jaki sposób człowiek się wyraża w czasie wolnym, pozostającym do jego dyspozycji, okazuje się powiązane bardzo ściśle z rytmem i charakterem jego pracy w czasie, nazwijmy go przez przeciwstawienie, **nie-wolnym,** tzn. podyktowanym przez różne konieczności życiowe, organizację życia.

Fot. Zbigniew Furman

Czas wolny nie jest więc domeną królestwa wolności, które było postulowanym i przewidywanym stanem pozytywnym człowieka. I to, jakie jest to królestwo, zależy od innych partii czasu.

— Czy z tego wynika, że królestwo wolności jest utopią?

— Jeśli tak, to jest piękną utopią, wyznaczającą kierunek ludzkich dążeń. W każdym razie, korzyść ze zwiększania się różne formy działania — nie dowolne, lecz podyktowane czasu wolnego jest korzyścią względną. W społeczeństwach rozwiniętych, przy istniejących ustawowo i faktycznie rozszerzających się ramach czasu wolnego pojawiają się bądź przez potrzebę dodatkowego zarobku, bądź konieczność spełnienia nowych, skomplikowanych czynności z tymi społeczeństwami związanych, jak dojazdy do pracy (w naszych warunkach też sprawa istotna), zakupy, usługi... To wszystko ogranicza ów czas, który nominalnie mamy do swojej dyspozycji.

— Przecież go nie likwiduje całkowicie.

— Właśnie. Najistotniejsze staje się więc to, czy ten **czas wolny** nie staje się **czasem pustym.** Są ludzie, którzy z jednej strony narzekają na niedostatek czasu wolnego, z drugiej zaś sami nie są zadowoleni z tego, jak wykorzystują czas, który mają. Nie wiedząc jak go zapełnić, poddają się zwyczajowi środowiska. W ten sposób, najbardziej rozszerzają się formy spędzania czasu podsuwane automatycznie przez obyczaj, jak gdyby organizowane z zewnątrz.

— O jakich formach Pani myśli?

— O dwóch. Są to: telewizja i alkohol.

— Zestawienia kontrastowe...

— I może być krzywdzące dla telewizji. Nie stawiam obu

DOKOŃCZENIE NA STR. 3

Ekonomia i okolice

Casus „Tarpan"

WOJCIECH KUBICKI

RZADKO się zdarza, żeby nowemu pomysłowi towarzyszyła u nas powszechna sympatia, nie mówiąc już o czynnym poparciu dla inicjatywy i przedsiębiorczości. Dobrze, jeśli skończy się na pogardliwym wzruszaniu ramionami, bo często przecież dochodzi do prób środowiskowej a nawet publicznej dyskredytacji pomysłu i pomysłodawcy, czyli podkładania świni w różnych wariantach. Trudno więc było oczekiwać, że akurat „Tarpan" spotka się z życzliwym albo chociaż tylko obiektywnym przyjęciem. Jednakże ilość żółci i szyderstw wywołanych przez ten pierwszy polski samochód osobowo-towarowy dla rolników zaskoczyła nawet tych, co podejmując jakiekolwiek nowe działanie zwykli mawiać — głowa do góry, zło dopiero nadchodzi...

Na dobrą sprawę nawet nie bardzo wiadomo, dlaczego poczciwy „Tarpan" wyzwolił tyle emocji. Trudno uwierzyć, że przyczyną było kilka niezłych pomysłów konstrukcyjnych, wykorzystanych w tym samochodzie. Jeszcze mniej prawdopodobne, że chodzi o te podstarzałe komponenty w rodzaju silnika czy elementów zawieszenia, odziedziczone po muzealnej „Warszawie", bo wtedy należałoby ukamienować przede wszystkim producentów „Żuka" i „Nysy" — do czego przeciwnicy „Tarpana" wcale nie zdradzali ochoty. Za jedyne wyjaśnienie zagadki przyjdzie więc przyjąć naszą niezniszczalną bezinteresowną nieżyczliwość. Istnieje też robocza hipoteza, upatrująca przyczynę w tym, że ujawniła się tu druga specjalność kuchni polskiej, znana od wieków i scharakteryzowana w lapidarnym skrócie — „do ciebie czapko mówię, a ty chłopie słuchaj." Zdarza się przecież, że najzagorzalsi krytycy w głębi duszy nie mają krytykowanemu dziełu nic do zarzucenia, natomiast serdecznie nie lubią jego autora, czego znów z różnych powodów woleliby publicznie nie ujawniać.

JAK tam było, tak było, grunt że „Tarpan" jedzie dalej. No i jakoś nie słychać na niego narzekań ze strony tych, dla których został zrobiony, przeciwnie, na wsiach go chwalą, choć na pewno woleliby, żeby np. mniej palił, miał trwalsze zawieszenie oraz parę innych bardziej współczesnych rozwiązań, do czego zresztą producenci dążą, wchodząc w tym celu we współpracę także z firmami zagranicznymi. Zobaczymy co z tego wyniknie, a na razie zauważmy, że jest to całkowicie polski samochód świadczący o dużym wyczuciu polskich konstruktorów, którzy przewidzieli nie tylko krajową, ale ogólnoświatową koniunkturę dla osobowo-towarowych samochodów dla rolnictwa.

Można sobie dowcipkować na temat prostoty „Tarpana", czasem z odrobiną pogardy nazywanej prymitywem, ale właśnie ta prostota jest jego zaletą dla wsi polskiej, także greckiej i irańskiej, dokąd zaczęto te auta eksportować, a nawet szwedzkiej. Oto bowiem od dwóch lat pewna szwedzka firma zabiegała o handlową i techniczną współpracę z formującym się przecież dopiero poznańskim ośrodkiem przemysłu samochodowego, ostatnio wzięła „Tarpana" na badania i złożyła propozycję nie tylko kupowania tych wozów, ale nawet zorganizowania ich montażu w Szwecji. Brzmi to zaskakująco, zwłaszcza dla eleganckich Europejczyków o wykwintnym smaku i zadawnionej niechęci do „Tarpana", ale prezes firmy „IMC" Lennart Rixman naprawdę upierał się niedawno, że szuka właśnie takiego prostego samochodu dla szwedzkiej dalekiej prowincji i że w związku z tym odpowiada mu właśnie auto z Poznania. Gdybyśmy — powiada Rixman — szukali czegoś bardziej wyrafinowanego i skomplikowanego, to znamy kilka adresów, od „Land-Rovera" do „Mazdy" i to wszystko co po drodze. Jednakże wedle oceny uniwersytetu w Lundzie, na rynku czterech krajów skandynawskich można by sprzedać do 10 tys. takich „Tarpanów" rocznie, więc warto się tym zająć.

NA razie, co prawda, więcej mamy zainteresowania niż samych samochodów, ale ponieważ w Poznaniu wzięli się za to poważni ludzie (jak to w Wielkopolsce), więc z dziesięciu niedużych fabryczek i zakładów remontowych powstał tam już bardzo dynamiczny ośrodek, który udowadnia, że nawet w latach inwestycyjnej posuchy można się rozwijać, jeżeli umie się pracować i ma się coś sensownego do zaproponowania. Jeszcze w 1976 r. wyprodukowano tych „Tarpanów" niecałe 4 tysiące, w tym roku ma być co najmniej sześć, ale w Antoninku już z szosy widać parohektarową nową halę, dzięki której będzie można produkować po kilkanaście tysięcy wozów rocznie. Kiedy przeciwnicy głośno powątpiewali o tym, czy „Tarpan" w ogóle jest potrzebny — trzeba było sporej odporności psychicznej i dalekowzroczności, żeby podjąć realizację programu na 10—15 tysięcy samochodów rocznie. Teraz już oczywiście wiadomo, że co najmniej o połowę za mało, no ale to już jest zmartwienie zupełnie innego gatunku.

Nie wszystko, rzecz jasna, nawet w Poznaniu idzie tak sprawnie, jak by sobie tego życzyli czekający na samochody rolnicy. Nawet tak prostej sprawy, jak załatwienie zgody na rejestrowanie „Tarpanów" dla siedmiu, zamiast sześciu osób nie udało się poznaniakom przepchnąć u władz komunikacyjnych, choć dyrektor Bobiński zapowiadał to w wywiadzie dla „Życia i Nowoczesności" przeszło rok temu. W odmianie „kombi" miały też być szyby boczne w przedziale ładunkowym, no i jakoś ich nie widać... Ale przyznać trzeba, że i tak zrobiono sporo żeby samochód lepiej służył użytkownikom, a co najważniejsze, z owych dziesięciu fabryczek rozsianych po całej Wielkopolsce — zorganizowano autentyczny nowy ośrodek polskiego przemysłu samochodowego. Jeżeli równie sprawnie pójdzie produkcyjne zagospodarowywanie nowej wielkiej hali i organizowanie własnej wytwórni silników samochodowych w miejscu zakładów remontowych — to będzie można powiedzieć, że kto liczył na „Tarpana", ten postawił na dobrego konia.

A SUKCES, jak zwykle, nie tylko rodzi zawiść, ale i przyciąga. Także wspólników. Na tej więc zapewne zasadzie „Polmozbyt", który jak powszechnie wiadomo ma za mało roboty, odebrał handel „Tarpanami" rolniczej „Agromie", żeby czasem chłop nie mógł sobie załatwić kupna wiejskiego auta w firmie, która zaopatruje go we wszystkie inne zmechanizowane urządzenia, do której jest przyzwyczajony i której handel rolniczymi samochodami doprawdy nie wywoływał żadnych zastrzeżeń. Poza tym jednym, że zarabiała na tym, na czym może przecież zarobić „Polmozbyt" — miast wyrabiać obroty żmudnym naprawianiem samochodów. No, ale jeśli już — pomińmy motywy! — kupcy walczą o „Tarpana", to koniec końców jest to jednak powód do radości.

GRY TELEWIZYJNE

JAN RURAŃSKI

Od kilku lat robi w świecie karierę nowy gadget — tele-gra. Kilkadziesiąt firm elektronicznych robi na nich już dziś niezły interes, a fachowcy od marketingu oceniają, że w najbliższych latach sprzedaż gier telewizyjnych przewyższy sprzedaż kalkulatorów kieszonkowych i zegarków elektronicznych.

JAK toto działa? Idea jest prosta: „tele-gra" to rodzaj generatora sygnałów o częstotliwości telewizyjnej, włączanego do gniazda antenowego odbiornika i tak skonstruowanego, aby na ekranie uzyskać proste linie wyznaczające schematycznie pole gry, ruchomy punkt świetlny — „piłkę" oraz przesuwane za pomocą potencjometrów „rakietki", którymi się tę piłkę odbija.

Pierwszą taką przystawkę do telewizora wyprodukowała w 1972 r. amerykańska firma „Magnavox". Początki były dość prymitywne; np. na ekran telewizora trzeba było nakładać różnego rodzaju nakładki, zależnie od typu gry, uproszczone były efekty akustyczne i elementy sterujące, ale w następnych latach postęp w miniaturyzacji elementów elektronicznych odbił się także i w tej dziedzinie. Układy scalone pozwoliły na znacznie większą komplikację urządzeń, urozmaicenie gry, pojawiła się możliwość automatycznego zliczania punktów i wreszcie kolor.

W końcu 1975 r. w General Instrument opracowano i rozpoczęto produkcję obwodu scalonego o dużej skali integracji, skonstruowanego specjalnie dla tele-gier (zawierał on m.in. pamięć o pojemności 500 bitów). W 1976 r. sprzedano już 5 milionów sztuk tych elementów. Był to duży skok w stosunku do konstrukcji pierwszych kompletów gier firmy „Magnavox", gdzie trzeba było stosować 6 układów scalonych, oddzielnie do generacji piłki, zarysów boiska, rakietek i systemów logicznych poszczególnych gier.

Po opanowaniu technicznych problemów producenci tele-gier zaczęli się martwić ich szybkim moralnym starzeniem się. Gra zręcznościowa, a do tego się właściwie wszystko sprowadza, dość szybko się człowiekowi nudzi. Kiedy opanuje się jako tako ruchy potencjometrami, w zasadzie nic nie może już nas zaskoczyć, „techniki" gry nie da się udoskonalić, bo jest ona automatyczna. W tej sytuacji pozostaje tylko zmiana rodzajów gry lub zwiększenie stopnia jej komplikacji.

Zastosowano więc w tele-grach mikroprocesory oraz sterowanie wymiennymi kasetami. Pierwszą taką właśnie programowaną przystawkę zademonstrowano na wystawie elektronicznej w Chicago w 1976 r. Była ona wyposażona w urządzenie do sterowania kasetami z cyfrowym kodem, co praktycznie pozwala na nieograniczoną liczbę wariantów gier.

Ale jest to nie tylko zmiana ilościowa. Wykorzystanie programowanego mikroprocesora w „tele-grze" — to już nowa generacja tych urządzeń. Mikroprocesor pozwala na zaprogramowanie gier „inteligentnych". Można np. wówczas z taką „inteligentną" przystawką grać w „kółko i krzyżyk", „Master mind", „Chińczyka" i wiele innych prostych gier umysłowych.

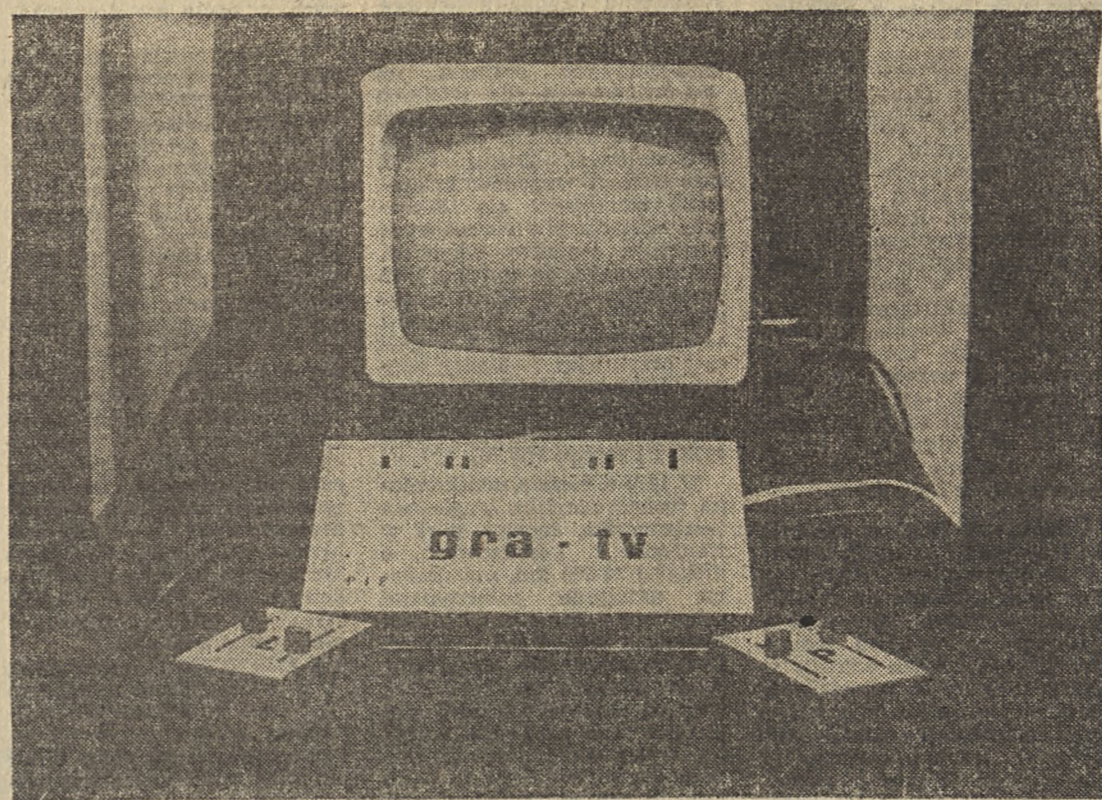
W Europie, pierwsze tele-gry programowane sprzedaje od ubiegłego roku „Saba". Jest to przystawka sterowana kasetami i przystosowana, obok gier zręcznościowych, do rozrywek dydaktycznych i matematycznych dla dzieci.

MODEL polskiej gry telewizyjnej opracowano niedawno w Ośrodku Elektronizacji Gospodarki Narodowej (na zdjęciu). Jest to dość prosty układ. Zawiera trzy gry sportowe z możliwością regulowania prędkości piłki, odpowiednie sygnały dźwiękowe i wyświetlanie wyniku na ekranie. Przystawkę skonstruował zespół pod kierownictwem mgr. inż. Cezarego Rudnickiego.

Model stoi na wystawie w Przemysłowym Instytucie Elektroniki, ale do podjęcia produkcji nikt się nie kwapi. Podobnie zresztą ma się sprawa z bezprzewodowym urządzeniem sterującym rzutnikiem przeźroczy, także skonstruowanym w pracowni inż. Rudnickiego. Tymczasem kwitnie więc prywatny import gier telewizyjnych, o czym świadczą choćby rubryki ogłoszeń „sprzedam". Ceny — jak to nowości — odpowiednio słone: do 7000 zł i więcej. Chociaż są to najtańsze zagraniczne modele, kosztujące ok. 40—50 dolarów. Przystawka tej klasy wyprodukowana w kraju powinna być dużo tańsza. Inż. Rudnicki ocenia koszt elementów składowych — diod, zasilacza, potencjometrów (oprócz głównego układu scalonego LSI, który kosztuje ok. 5—10 dolarów) na ok. 300 zł. Sam montaż prostszy jest nawet od montażu kalkulatora.

Na rynkach zachodnich prawdopodobnie furory tą przystawką już byśmy nie zrobili, ale produkcję warto uruchomić, choćby dla zdobycia doświadczeń. Wszystko bowiem wskazuje na to, że za rok lub dwa wbudowana w odbiornik TV gra telewizyjna będzie standardem, tak jak dziś programowane układy wejściowe zamiast przełącznika kanałów.

Warto by także już dziś zacząć zastanawiać się nad wykorzystaniem idei i możliwości tego urządzenia do innych celów, np. do systemu kodowania prostych rysunków lub tekstów na zwykłych magnetofonach i odtwarzania ich na ekranie telewizora lub też przygotowanie telewizora do odbioru specjalnych informacji poprzez zwykłe łącze telefoniczne.



SPOKOJNIEJ O KONTENERACH

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

-prawny KST w Polsce. Istnieje pilna konieczność koordynacji wszystkich poczynań w zakresie konteneryzacji, a przede wszystkim obrotu kontenerami. Takim koordynatorem może być spedytor, przedsiębiorstwo kolejowe czy armatorskie, lub operator kontenerowy, tak jak to ma miejsce w NRD. W Polsce takich operatorów jest wielu. Obroty lądowo-morskie obsługiwane są przez PLO i przedsiębiorstwa spedycyjne „C. Hartwig" w Gdyni i „C. Hartwig" w Szczecinie, przewozy lądowe do krajów socjalistycznych przez Przedsiębiorstwo Spedycji Krajowej (PSK) i „Hartwiga" w Warszawie i Katowicach, przewozy lądowe w relacjach z krajami kapitalistycznymi przez „Hartwiga", w Katowicach i Warszawie. Natomiast przewozy krajowe pozostają w gestii PSK. O skali problemu świadczy także rozproszenie majątku kontenerowego między różnych właścicieli, eksploatujących i zarządzających nim. I tak, kontenery należą do PLO, PKP i przemysłu, tabor kolejowy do PKP, samochodowy do PLO, PKS, PMPS „Pekaes", statki morskie są własnością PLO i PŻB, terminale — do PKP i portów morskich, urządzenia ładunkowe — do PKP, portów i przemysłu. Jest zrozumiałe, że w takiej sytuacji pytanie o koordynację poczynań w zakresie KST pozostaje w sferze pytań retorycznych.

Nie ułatwia wdrażania KST słabość zaplecza remontowego kontenerów. W naprawczych zakładach kolejowych remonty przebiegają dość sprawnie, lecz kontenery morskie remontowane są w stoczniach w prowizorycznych warunkach. Bodźce taryfowe nie zawsze działają we właściwych kierunkach.

Użytkownik transportu woli np. wozić ładunek własnym samochodem, bez względu na koszty, niż zlecić przewóz w kontenerze obcemu przewoźnikowi. Choć kontener jest najbezpieczniejszą formą przewozu drobnicy, jednak całkowicie nie wyeliminował szkód podczas ładowania. Szkody wynikają przede wszystkim z braku fachowców umiejących odpowiednio załadować kontener, ponieważ towar w kontenerze wymaga starannego i umiejętnego ułożenia. Mimo to w Polsce osiągnięto korzyści z tytułu zmniejszenia szkód i opakowań w wysokości średnio 320 zł na jedną tonę skonteneryzowanego ładunku. Za przykład niech posłuży wysyłka lodówek „Polar" z zakładów śląskich. W tradycyjnym transporcie (głównie koleją) 40 proc. lodówek ulegało uszkodzeniu. Po zastosowaniu kontenerów mechaniczne uszkodzenia w czasie transportu zostały zmniejszone 10-krotnie.

Duże rozproszenie odbiorców towarów rynkowych podważa celowość stosowania do ich obsługi kontenerów wielkich. Powinno się tu natomiast szerzej stosować kontenery małe i średnie, tak rozpowszechnione np. w ZSRR. Niezmiernie ważne jest przeprowadzenie rachunku korzyści z KST u użytkowników transportu. Bez uświadomienia sobie korzyści wynikających ze stosowania kontenerów, wszelka działalność na tym polu nie ma większego sensu.

ROZWÓJ konteneryzacji w Polsce nie jest więc imponujący i w najbliższym czasie, do chwili usunięcia najważniejszych przeszkód, nie należy spodziewać się jego przyspieszenia. Niemniej jednak przewiduje się, że w roku 1980 nadania ładunków konteneryzowanych w kraju wyniosą 3730 tys. t, a potencjał przeładunkowy portów morskich przygotowany będzie do przyjęcia 2 mln t ładunków w kontenerach. O wielkości zadań świadczy porównanie z latami ubiegłymi. Na przykład w roku 1976 transport samochodowy przewiózł 881 tys. t ładunków w kontenerach, kolej — 717 tys. t, a porty przeładowały 361 tys. t skonteneryzowanych ładunków. Są to wielkości daleko odbiegające od przewidywań z początku obecnej dekady, lecz chyba lepiej zrezygnować z nadmiernego optymizmu i konsekwentnie realizować zadania na miarę aktualnych możliwości i potrzeb.

JACEK BRDULAK
KRZYSZTOF FRONCZAK

PRZEGLĄD PRASY — nie tylko DLA WTAJEMNICZONYCH

MIMO wydanych decyzji, zarządzeń i całego szeregu przedsięwzięć na wszystkich szczeblach zarządzania koleją, regularność biegu pociągów pasażerskich w 1977 roku uległa pogorszeniu o 0,1 proc. w stosunku do roku ubiegłego. W tej sytuacji rodzi się pytanie czy brak poprawy spowodowany jest tylko przyczynami obiektywnymi, np. dużym natężeniem ruchu w ogóle, czy innymi, subiektywnymi?

Odpowiada na nie inż. Jan Rygielski w EKSPLOATACJI KOLEI (nr 3 z br.), omawiając kolejowe przewozy pasażerskie na tle sytuacji przewozowej PKP.

Otóż należy wyraźnie powiedzieć, że maksymalne wykorzystanie przelotowości szeregu odcinków głównych linii kolejowych stwarza sytuacje, w których chociażby minimalne opóźnienie jednego pociągu przenosi się na wiele innych, zarówno pasażerskich jak i towarowych. Zlikwidowanie tych podstawowych przyczyn powstawania opóźnień pociągów wpłynęłoby w zasadniczy sposób na złagodzenie istniejących napięć w przewozach towarowych i poprawiłoby decydująco regularność kursowania pociągów pasażerskich, najdotkliwiej przez podróżnych odczuwany mankament pracy kolei.

Przyczynami powstawania wielu opóźnień są również: zły stan torów i pękanie szyn, uszkodzenia lokomotyw i sieci trakcyjnej, usterki w urządzeniach zabezpieczenia ruchu przy prowadzeniu pociągów. Z uwagi na stałe powtarzanie się wspomnianych przyczyn nasuwa się pytanie czy można powoływać się na zły stan torów, mimo prowadzenia od kilku lat robót remontowych? Czy nie jest możliwe przy odpowiedniej koncentracji sił i środków doprowadzenie kolejno poszczególnych linii o podstawowym znaczeniu dla ruchu pasażerskiego do stanu pozwalającego na jazdę na całej trasie z prędkością rozkładową? Nie ulega żadnej wątpliwości, że tory ze względu na ich stan muszą być naprawiane. Trudno jednak uznać za szczęśliwe dla sprawności prowadzenia pociągów rozwiązanie wymagające prawie dla każdej naprawy zamknięcia toru.

Jest też absolutnie konieczne doprowadzenie urządzeń zabezpieczenia ruchu pociągów do stanu gwarantującego niezawodne działanie.

Poważny wpływ na regularność kursowania pociągów pasażerskich wywierają zakłócenia w ruchu towarowym. Wystarczy zbadać któregokolwiek dnia bieg pociągów pasażerskich, aby stwierdzić szereg opóźnień spowodowanych przenoszeniem się zakłóceń z ruchu towarowego. Niedostateczne przeciwdziałanie takim sytuacjom jest jednym z czynników sprzyjających pojawianiu się szkodliwych poglądów głoszących, że przewozy pasażerskie są wykonywane w cieniu przewozów towarowych. Obiektywnie trzeba jednak stwierdzić, że istnieją okoliczności, które mogą stwarzać atmosferę sprzyjającą istnieniu takich poglądów. Na przykład liczba nagród wypłacanych za pracę związaną z ruchem towarowym jest niewspółmiernie wyższa niż za pracę związaną z ruchem pasażerskim. Istnienie tego rodzaju poglądów jest szkodliwe dla ruchu pasażerskiego, a droga uzdrowienia jednej kategorii ruchu kosztem drugiej prowadzi donikąd.

CZYTACZ

Sugestie

NAJCIEMNIEJ POD LATARNIĄ...

ANDRZEJ ŚWIECKI

O KORZYŚCIACH płynących z upowszechnienia wychowania przedszkolnego nie trzeba dzisiaj nikogo specjalnie przekonywać. Stwierdzono bowiem ponad wszelką wątpliwość, że pobyt dziecka w tej placówce oświatowej przyspiesza znacznie jego rozwój umysłowy, wyrównuje dysproporcje wśród dzieci z różnych środowisk, lepiej przygotowuje do szkoły... Założenia obecnej reformy systemu szkolnego zakładają co najmniej roczny pobyt w przedszkolu dzieci sześcioletnich, w związku z czym już w br. ponad 95 proc. sześciolatków uczęszcza do klas lub oddziałów przedszkolnych. Żeby zaś to przygotowanie do szkoły było jak najlepsze, wprowadzono do przedszkoli nowy program wychowawczo-dydaktyczny. Zawiera on elementy początkowego czytania, materiał przedszkolnej matematyki, przygotowuje się przedszkolaków do nauki pisania... Słowem, przedszkole dzisiejsze wzbogaciło się o spory zasób treści dydaktycznych, dzięki czemu okres nauczania początkowego można było skrócić z czterech do trzech lat.

Przedszkola rosną więc nam jak grzyby po deszczu. Wystarczy powiedzieć, że tylko w latach 1972—1975 uruchomiono ponad 5 tys. nowych placówek wychowania przedszkolnego, w tym ponad 1000 przedszkoli, około 1200 oddziałów przedszkolnych przy szkołach podstawowych i około 3000 ognisk przedszkolnych. Z różnych form wychowania przedszkolnego korzysta już ponad milion dzieci.

Nie oznacza to, oczywiście, że wszystkie te dzieci korzystają z usług placówek przedszkolnych pełnowartościowych. Bo przedszkoli stałych, realizujących pełny program wychowawczo-dydaktyczny jest jeszcze zbyt mało. Z badań wynika np., że nowy program pracy z sześciolatkami w ogniskach możliwy jest do zrealizowania, jeśli będą one czynne 18 godzin tygodniowo i to przez cały rok. Nie takie rzadkie są znów przypadki, że zajęcia pedagogiczne w tych placówkach nie przekraczają często 9 godzin tygodniowo. Na wsi wychowanie przedszkolne sześciolatków obejmuje w 91,5 proc. (mimo że już w tym roku wszystkie dzieci na rok przed rozpoczęciem nauki powinny znaleźć się w klasie przedszkolnej). Co najmniej kilka tysięcy dzieci wiejskich, zwłaszcza z rejonów podgórskich i o rzadszej sieci osiedleńczej, pozostaje poza zasięgiem tych placówek...

Piszę o tym dlatego, żeby pokazać ogrom trudności, które należy pokonać, aby podjęte już postanowienia zostały zrealizowane. Od nich przecież zależy powodzenie reformy, wprowadzenie powszechnej szkoły średniej dla wszystkich i dla każdego. Nie będzie to zadanie łatwe. Nie tylko na terenach wiejskich. I choć Ministerstwo Oświaty przewiduje w bieżącym roku zwiększenie liczby miejsc w przedszkolach o dalsze 50 tysięcy, zachęcając nawet kuratoria do przekraczania planów — sprawy te różnie wyglądają nie tylko na wsi i w mieście, ale także między poszczególnymi regionami, miastami, czy nawet dzielnicami miast.

CZĘSTO podkreśla się, że w miastach blisko 65 proc. dzieci objęto wychowaniem przedszkolnym, a większość placówek realizuje swój wielogodzinny program w dobrych warunkach i przez fachowo przygotowaną kadrę. Większość — to nie znaczy wszystkie...

W Śródmieściu Warszawy, a więc w dzielnicy, na terenie której mieści się siedziba najwyższych władz oświatowych, sytuacja przedszkolna w najbliższych latach będzie gorsza niż gdzie indziej. Podczas spotkania przedwyborczego w gmachu Ministerstwa Oświaty i Wychowania, jako radny DRN W-wa Śródmieście, działający w Komisji Oświaty, Wychowania i Kultury ubiegłej kadencji i kandydat na radnego w nowej, przedstawiłem tę sytuację w sposób skrótowy, zapowiadając jednocześnie, że będziemy zmuszeni zwrócić się do tego znaczącego oświatowego lokatora naszej dzielnicy z prośbą o pomoc. Bo niedobrze byłoby, gdyby pod bokiem reformatora oświaty sytuacja nie ulegała poprawie.

A wygląda ona następująco. W latach 1975—1980 liczba dzieci w wieku przedszkolnym wzrośnie w dzielnicy z 5800 (1975 r.) do 7900. Urząd Dzielnicy przewiduje, że liczba miejsc w przedszkolach zwiększy się o 130. A zatem stopień objęcia dzieci wychowaniem przedszkolnym do roku 1980 ulegnie obniżeniu z 87 proc. do 62 proc. w przyszłości. To są, zresztą, dane optymistyczne. Procent ten może ulec jeszcze większemu obniżeniu, ponieważ przy obliczeniach nie wzięto pod uwagę 8 przedszkoli w Śródmieściu, które powinny być likwidowane ze względu na wyjątkowo trudne warunki lokalowe. Pięć z tych przedszkoli mieści się w rejonie Powiśla, gdzie sytuacja jest wyjątkowo trudna. Tak było do roku ubiegłego. W roku bieżącym sytuacja uległa pogorszeniu, z chwilą objęcia Łazienek opieką Muzeum Narodowego. Zażądano zlikwidowania przedszkoli w Łazienkach i przy ul. Myśliwieckiej. Tymczasem, do 1980 roku nie przewiduje się w Śródmieściu stolicy budowy ani jednego obiektu przedszkolnego. Radni obliczyli, że po zrealizowaniu wszystkich postulatów bhp i żądań Muzeum, bez perspektyw na jakąkolwiek inwestycję przedszkolną czy choćby wygospodarowania innych, nadających się na cele przedszkolne pomieszczeń — pod bokiem Ministerstwa może powstać taka sytuacja, iż w 1980 r. z opieki przedszkolnej korzystać będzie niewiele więcej niż 40 proc. dzieci...

Urząd Dzielnicy jest w sprawach inwestycyjnych bezsilny, Urząd m. st. Warszawy musi inwestować w budowę przedszkoli w zaniedbanym pod tym względem województwie stołecznym... Może więc Ministerstwo zainteresuje się Śródmieściem. Warto przecież w tej właśnie dzielnicy stworzyć modelowy wzór upowszechnienia wychowania przedszkolnego. Wszak to poligon najwdzięczniejszy i najbliższy zarazem tak do działania, jak i pokazywania...

WCALE nie lepiej przedstawia się w Śródmieściu wyposażenie przedszkoli w sprzęt i przeróżne pomoce. Daje się zauważyć takie prawidłowości, że przedszkola mające dobre warunki lokalowe są również dobrze wyposażone, natomiast te placówki, które notują długi okres funkcjonowania, przez wiele lat nie miały możliwości, z przyczyn finansowych, wymiany starego zużytego sprzętu i pomocy naukowych. Teraz zaś, gdy powinny już realizować założenia reformy szkolnej, kiedy czas przejąć część zadań szkoły podstawowej, nie są po prostu w stanie sprostać zało-

Zrobić, ale czym?

WIERCIĆ DZIURĘ W BRZUCHU

ANDRZEJ GORZYM

DWA tygodnie temu, w ostatnich dniach marca, Składnica Harcerska otworzyła w Warszawie nowy sklep dla majsterkowiczów. Sklep sprzedaje przede wszystkim artykuły drzewne, które nagromadziły się jako odpady w Wyszkowskich Fabrykach Mebli. Wśród tych odpadów są kawałki płyt wiórowych — laminowanych i oklejanych folią drewnopodobną, fornir, listwy, wybrakowane elementy mebli. To wszystko jest już nieprzydatne wielkiemu przemysłowi meblarskiemu, natomiast doskonale nadaje się dla majsterkowiczów, którzy własnymi siłami chcą zrobić półkę, szafkę czy pawlacz.

Od samego początku nowy sklep cieszy się ogromną popularnością, a od dnia, w którym ukazała się o nim informacja w „Życiu Warszawy", jest dosłownie oblężony. Zazwyczaj już przed jedenastą ustawia się przed sklepem kolejka, by w dwie—trzy godziny wykupić prawie całą jego zawartość. Rzecz w tym, że sklep nie ma magazynu ani zaplecza, w którym mógłby zgromadzić większy zapas towaru. Wszystko co przywiozą z Wyszkowa idzie wprost do sklepu, więc tyle można przywieźć ile pomieści sklep. A to wystarcza zaledwie na parę godzin handlowania. Klienci, którym udało się kupić poszukiwany kawałek płyty, chwalą nową inicjatywę Składnicy Harcerskiej, tym bardziej że ceny są tam kilka razy niższe niż w innych sklepach sprzedających artykuły drzewne. Ci, którzy odeszli z kwitkiem, psioczą na taki handel, który nie ma czym handlować. Nawet wśród kolegów-dziennikarzy spotkałem się z opiniami, że trzeba by „przyłożyć" Składnicy Harcerskiej za to, że otwiera sklep, a nie ma dość towaru. Oczywiście, najłatwiej „przyłożyć" i zażądać w tej sytuacji przebranżowienia sklepu, na przykład na monopolowy. Wierzę jednak, że do tego nie dojdzie. Sądzę natomiast, że z czasem usprawni się zaopatrzenie sklepu, a wtedy materiałów będzie więcej. Oby do tej pory Składnica nie zraziła się obecnymi kłopotami z nowym sklepem.

Centralna Składnica Harcerska jest przedsiębiorstwem handlowym, które powołano po to, by zaopatrywać harcerstwo w niezbędne materiały. Potem powierzono jej także obowiązek zaopatrywania całej federacji związków młodzieży, m. in. w sprzęt obozowo-biwakowy, którego co roku potrzeba niemało, a także w artykuły politechniczne niezbędne dla różnych kółek zainteresowań — na przykład pracowni modelarskich. Narzędzia i materiały dla majsterkowiczów mieszczą się właśnie w grupie artykułów politechnicznych, która jest dużą, ale nie najważniejszą dziedziną zainteresowań Składnicy. Mimo to jednak niewiele jest w Polsce placówek, które zrobiły dla majsterkowiczów tyle co Składnica Harcerska.

Zaopatrzenie sklepów Składnicy w narzędzia i ich zestawy zawsze wyróżniało się na korzyść, choć zdaję sobie sprawę, że nie było i nie jest takie, o jakim marzą majsterkowicze. Nieraz wiele do życzenia pozostawia jakość sprzedawanych narzędzi, ale to dotyczy całego handlu, a właściwie ich producentów. Od czasu do czasu można też było kupić w Składnicy importowane narzędzia i materiały: wiertarki „Black and Decker" z różnymi przystawkami i nasadkami, nożyki „Humbrol", angielskie farby w małych puszeczkach, włoskie i radzieckie kleje w małych opakowaniach.

W tym roku zmniejszono Składnicy limit dewiz na import artykułów politechnicznych, a na import z tzw. II rynku nic nie przyznano. Zapewne wiele z wcześniej wymienionych artykułów można by było zastąpić naszymi, krajowymi, gdyby ich było pod dostatkiem. Nie wiem jak jest w innych miastach, ale w Warszawie już bez kłopotu można kupić dwubiegową wiertarkę produkowaną przez cieszyńską „Emę-Celmę" na licencji Boscha. Żeby jeszcze można było dostać przystawki do tej wiertarki... W ubiegłym roku było ich bardzo niewiele, w tym roku „Ema-Celma" nie obiecuje żadnej przystawki luzem. Owszem, mają być, ale tylko w zestawach, których zresztą będzie tylko kilkaset sztuk.

Najłatwiej dałoby się zastąpić importowane farby i kleje. Nasz rodzimy przemysł robi nie gorsze, cóż z tego, skoro nie chce pakować w małe puszeczki. Fabryki rozlicza się z wielkości produkcji, a nie z tego, w jakich opakowaniach dostarczają towar handlowi. Toteż producenci najchętniej dostarczaliby farby i kleje w beczkach, a nie w 100-gramowych, nie mówiąc o mniejszych, puszkach. Dlatego Składnica zmuszona jest importować kleje z ZSRR i NRD, bo u nas nikt nie chce ich konfekcjonować.

DOTKLIWY brak narzędzi, zwłaszcza elektronarzędzi i niektórych materiałów, można by złagodzić. Dyrekcja Składnicy Harcerskiej już od dawna nosi się z pomysłem uruchomienia wypożyczalni narzędzi. Przecież ktoś, kto na przykład otrzymał nowe mieszkanie i potrzebuje wywiercić parę otworów w ścianie albo przyciąć kawałek deski, nie musi od razu kupować wiertarki lub piły. Właśnie tacy okazjonalni majsterkowicze powinni mieć możliwość wypożyczenia na parę dni potrzebnego narzędzia, oczywiście odpłatnie. I taką wypożyczalnię Składnica chce otworzyć. Ma nawet gotowy zestaw narzędzi, który czeka w magazynie na tę okazję. Niestety, na przeszkodzie stoi brak pomieszczenia.

O sprawie wypożyczalni narzędzi mówiono już nieraz przy różnych okazjach. Zawsze entuzjastycznie przyjmowano propozycję Składnicy Harcerskiej, obiecywano poparcie i pomoc. Jednak na obietnicach się kończyło. Ostatnio, jesienią ubiegłego roku, byłem świadkiem podobnej obiecanki. Stowarzyszenie Techników i Inżynierów Mechaników Polskich, które dużo robi, żeby ulżyć niedoli majsterkowiczów, zorganizowało spotkanie, na które ściągnięto także przedstawicieli Urzędu Dzielnicowego Warszawa-Ochota. Oczywiście, wcześniej poinformowano ich o celu tego spotkania. Dyrektor Centralnej Składnicy Harcerskiej — Mieczysława Sławińska, przedstawiła jeszcze raz swoją propozycję zorganizowania wypożyczalni narzędzi. Chodziło tylko o lokal i to niekoniecznie o lokal pełnowartościowy, wystarczyłaby suterena, stara kotłownia lub podobne pomieszczenie o dość dużej powierzchni. Centralna Składnica Harcerska gotowa była je nawet wyremontować własnymi siłami, a SIMP-owcy obiecali społecznie przygotować wszelką dokumentację niezbędną do ewentualnej przeróbki lokalu. Przedstawiciel Urzędu Dzielnicowego, który — jak podkreślił — reprezentował samego naczelnika dzielnicy, poparł sprawę i nie widział żadnych przeszkód by taka pierwsza w stolicy wypożyczalnia powstała na Ochocie. Oburzył się nawet na moje zwątpienie w szczerość tej deklaracji. Stanęło na tym, że dyrekcja Składnicy spotka się z władzami Ochoty, żeby ustalić szczegóły przejęcia wytypowanego lokalu. Wydawało się więc, że uruchomienie wypożyczalni jest już tylko kwestią tygodni.

Do spotkania jednak nie doszło. W dwa lub trzy tygodnie później, na kolejnym spotkaniu w SIMP, poświęconym sprawie zakładania osiedlowych pracowni dla majsterkowiczów, inny przedstawiciel tego samego naczelnika z Ochoty stwierdził, że Urząd Dzielnicowy popiera majsterkowanie, ale najchętniej widziałby je w pracowniach szkolnych, a nie w żadnych klubach osiedlowych. O lokalu na wypożyczalnię narzędzi już nie było mowy. W ten sposób sprawa przestała istnieć, przynajmniej na Ochocie. Dyr. Sławińska wykorzystała więc okazję, żeby zebranym opowiedzieć ku przestrodze całą historię pomysłu z wypożyczalnią. Tym razem przejął się nią przedstawiciel Urzędu Stołecznego, który przyrzekł rozejrzeć się w możliwościach przydzielenia lokalu odpowiedniego na wypożyczalnię narzędzi, bo sam pomysł bardzo mu się spodobał. Cała nadzieja, że będzie słowniejszy niż przedstawiciel naczelnika z Ochoty.

Dyrekcji Składnicy marzy się lokal, w którym można by pomieścić nie tylko wypożyczalnię, ale i sprzedaż materiałów do majsterkowania, a także niewielki warsztat. Wtedy można by od ręki wykonywać niektóre drobne usługi na miejscu oraz udzielać porad klientom co i jak zrobić. Ale na to potrzeba co najmniej 500 m kwadratowych. W lokalach zajmowanych obecnie przez Składnicę nie ma mowy o wygospodarowaniu takiej powierzchni. Wszędzie panuje ciasnota, o czym łatwo przekonać się samemu zaglądając do któregokolwiek sklepu.

GDYBY nie ta ciasnota, Składnica już wcześniej wzbogaciłaby asortyment materiałów dla majsterkowiczów. Kopalnią tych materiałów jest prawie każda większa fabryka. Przy wielkoprzemysłowej produkcji powstają odpady, które fabryce są nieprzydatne do niczego, a do tego zajmują niepotrzebnie miejsce. Kawałki desek, płyt, blach czy prętów, nie mówiąc o różnych wybrakowanych elementach, mogą natomiast przydać się majsterkowiczom. Od paru lat Składnica handluje takimi niepełnowartościowymi elementami elektronicznymi. Bydgoska „Eltra", „Kasprzak", „Tewa", „Diora" czy filia WZT w Białymstoku odstępują Składnicy po obniżonych cenach takie niepotrzebne części. Niektóre zakłady przygotowują gotowe ich zestawy wraz ze schematem pokazującym co można z tych części zrobić. W ten sposób fabryki trochę na tym zarabiają, zarabia Składnica, a co najważniejsze — wybrakowane części nie trafiają na wysypisko, lecz do rąk majsterkowiczów. W ubiegłym roku Składnica sprzedała takich odpadowych elementów elektronicznych za około 20 mln zł. Wzięli się najpierw za elektronikę, bo taka sprzedaż nie wymaga wiele miejsca. Ale przecież desek i płyt nie da się sprzedawać na kilkunastu metrach kwadratowych. Zrozumiał to Urząd Dzielnicowy Warszawa-Śródmieście i choć w Śródmieściu najtrudniej o lokale — przydzielił Składnicy sklep na ul. Koszykowej. Gdyby podobne zrozumienie wykazały inne urzędy dzielnicowe, takich sklepów można by otworzyć więcej. I nie tylko z materiałami drzewnymi.

Składnica pertraktowała już z niektórymi zakładami metalowymi w sprawie sprzedaży odpadów. Chętnie je odstąpią, jednak pod warunkiem, że nie będą musieli ich sortować i pakować. W tym celu potrzebny byłby człowiek, a więc etat, którego w każdej fabryce po prostu szkoda na ten cel. Co prawda Składnica mogłaby zatrudnić takiego pracownika, ale żaden dyrektor nie pozwoli, by w jego fabryce stale pracował obcy, bo przepisy na to nie zezwalają. Tak więc odpady, które mogłyby być z powodzeniem użyteczne dla majsterkowiczów, idą po prostu na złom lub na wysypisko. Dyrekcja Składnicy wierzy jednak, że z czasem fabryki przekonają się, iż sprzedaż odpadów leży także w ich interesie. Na razie dobrze się układa współpraca pod tym względem z Wyszkowskimi Fabrykami Mebli, a przecież odpady powstają także w innych fabrykach, nie tylko w tej branży.

Składnica Harcerska rozpoczęła w ubiegłym miesiącu sprzedaż odpadów drzewnych z Wyszkowskich Fabryk Mebli także w Krakowie i w Lublinie. Cieszą się one, podobnie jak nowy sklep w Warszawie, ogromnym powodzeniem. W przyszłości Składnica chciałaby otworzyć podobne sklepy w innych miastach, w których ma swoje oddziały. Oczywiście, jeśli uda się jej załatwić pomieszczenia na ten cel.

Chleba naszego... świeżego

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

jakby nie było, jednej z podstawowych branż decydujących o zaopatrzeniu rynku w artykuły żywnościowe? W piekarnictwie uspołecznionym, któremu patronuje i odpowiada za nie ZSS „Społem", budowanych jest obecnie 15 dużych obiektów. Ostatni z nich powinien ruszyć w 1981 roku. Z tej liczby, dwie piekarnie zaczną pracę jeszcze w tym roku: w Krakowie o zdolności produkcyjnej 37,2 tony na 16 godzin (koszt 106 mln) i w Bydgoszczy również na 37,2 tony (koszt łącznie z ciastkarnią 187,5 mln). W Warszawie ruszy za kilka lat wielka piekarnia przemysłowa, zlokalizowana przy ul. Krakowiaków, o mocy produkcyjnej 60 ton pieczywa i 20 ton ciastek. Wybuduje się ją kosztem 538,5, mln złotych. Oprócz tych wielkoludów, buduje się również około 40 piekarni mniejszych, średnio od 6—18 ton zdolności produkcyjnej w ciągu 16 godz. Koszt piekarni 6-tonowej sięga 10 mln zł, a 18-tonowej ok. 50 mln złotych. W Uchwale nr 168/78 Rady Ministrów o Narodowym Planie Społeczno-Gospodarczym w 1978 r. w załączniku nr 6, który jest wykazem inwestycji szczególnie ważnych dla gospodarki narodowej, znalazła się część spośród realizowanych obecnie dużych obiektów. Pamiętać jednak trzeba nie tylko o priorytetach i kosztach, ale i o czasie. Cykl budowy małych piekarni społemowskich obliczony jest na 24 miesiące. Dużych zaś na 36—42 miesiące. Nie jest to tempo oszałamiające jeśli zważyć, że w takim samym mniej więcej czasie zdołaliśmy ukończyć pierwszy etap budowy huty „Katowice". Tak więc zapowiada się, że kosztem ciężkich milionów powstanie do 1981 roku 15 dużych piekarni przemysłowych, o zdolności produkcyjnej łącznie 450 ton pieczywa w ciągu 16 godzin. Jeżeli dodamy nawet do tej liczby zdolności produkcyjne uzyskane z budujących się mniejszych obiektów, to i tak będzie to jeszcze znacznie mniej niż wspomniane wyżej brakujące 2 tysiące ton dziennego wypieku, gwarantujące dotarcie świeżego pieczywa do wszystkich. Gdzież w takim razie szukać możliwości skrócenia czasu oczekiwania na świeże pieczywo? Czyż nie ma już żadnych rezerw?

Stawka na małe

Rezerwy takie są i odkryliśmy je słusznie w piekarniach rzemieślniczych. O sprzyjającej atmosferze roztoczonej wokół tego rzemiosła (równie starego jak nasza cywilizacja) świadczą chociażby wydane w ostatnich dwóch latach liczne przepisy i udogodnienia zachęcające do rozwoju warsztatów. W 1977 roku piekarnie rzemieślnicze wyprodukowały 440 tys. ton pieczywa wartości 2 mld 246 mln zł. Było to około 14 procent produkcji całego piekarnictwa w kraju. Łącznie przemysł piekarski wyprodukował 3 mln 318 tys. ton pieczywa. Rzemiosło jednak — jako jedyne — wyprodukowało w ub. roku o 27 tys. ton pieczywa więcej w porównaniu do roku 1976. Piekarnie „Społem" i „Samopomocy Chłopskiej" odnotowały w 1977 roku nieznaczny spadek produkcji. W Narodowym Planie Społeczno-Gospodarczym na rok bieżący produkcja piekarnictwa ma wzrosnąć o 0.5 proc., czyli o 150 tys. ton. Całą tę ilość ma dostarczyć rzemiosło. I to nie tylko z zakładów już istniejących, ale także z tych, które mają powstać. „Społem" pełniące także funkcje koordynatora rozwoju całej branży ma u siebie odnotowane, że do 1980 roku powinno powstać co najmniej 500 nowych piekarni rzemieślniczych. Przekazało ono nawet już rzemiosłu wykaz ponad 500 miejscowości, gdzie piekarnie takie są szczególnie pilnie potrzebne. Rzemiosło nie mówi nie, ale prowadzi też swoją statystykę. W 1965 roku było w kraju 3076 piekarni prywatnych; w 1974 roku — 2577, w 1976 — 2335, a w 1977 — 2397. Tak więc po 17 latach systematycznego spadku kreska drgnęła wreszcie do góry. Tylko drgnęła. Według planu, w 1977 roku miało bowiem powstać 200 nowych piekarni. Powstało 189, ale jednocześnie likwidacji uległo 128. W rzeczywistości przybyło więc jedynie 61 piekarni. Przyczyny likwidacji? Wyburzenia, emerytury, zgony. Piekarnie rzemieślnicze cierpią na dwie dolegliwości: brak lokali i brak ludzi chętnych do podjęcia tej ciężkiej pracy. Ponieważ jednak chleb piec trzeba, należy podejmować dalsze starania aby te małe piekarnie jednak powstawały. Głosuje zaś za nimi przede wszystkim rachunek ekonomiczny. Policzmy. Koszt nowej, budowanej od podstaw piekarni rzemieślniczej, łącznie z urządzeniem, wynosi ok. 3 mln złotych. Piekarnię taką można uruchomić w ciągu jednego roku (rzemieślnicy różnych branż nawzajem sobie pomagają) i uzyskiwać z niej od 1,5 — 2 ton świeżego pieczywa. Obecnie w Warszawie — jak to już napisałem wyżej — brakuje mocy produkcyjnych na 250 ton pieczywa dziennie. Uruchomienie tylko 125 piekarni rzemieślniczych, zlokalizowanych tam gdzie ich szczególnie brakuje, a więc w osiedlach mieszkaniowych, kosztowałoby rzemieślników łącznie ok. 375 mln złotych. Dodajmy tu nawiasem, że część potrzebnej sumy rzemieślnik może otrzymać w formie kredytu z Banku Spółdzielczego. Tych 125 piekarni rozwiązałoby problem braku pieczywa z zapasem, dałyby one bowiem ponad 250 ton pieczywa dziennie. Dla porównania: koszt wspomnianej piekarni przemysłowej przy ul. Krakowiaków wyniesie 538,5 mln złotych. Da ona 60 ton pieczywa w ciągu 16 godzin, a ruszy pod koniec 1981 roku. W takim kontekście potrzeba wydatkowania wielkich sum na kapitałochłonne i długo realizowane piekarnie przemysłowe jawi się nam już w nieco innym świetle. Ograniczę się więc na zakończenie do jednej tylko refleksji: o ileż szybciej i taniej moglibyśmy rozwiązać szereg naszych trudności, gdybyśmy z większą uwagą i konsekwencją wspierali rozwój również małych zakładów. I to nie tylko w piekarnictwie.

LESZEK CHMIELOWSKI

żeniom tej reformy. Kilka przykładów.

Przedszkole nr 251, przy ul. Rozbrat 10/11 — podobnie jak kilka innych — pracuje w trudnych warunkach lokalowych. Ciasnota (przedszkole przewidziane na 53 dzieci przyjęło w ub. roku 78), kuchnia węglowa, brak odpowiednich urządzeń sanitarnych uniemożliwiają korzystanie z wyparzacza (zajmującego dużo miejsca w bardzo małej kuchni). Posiłki do sali maluchów i krasnali trzeba przenosić przez obskurną klatkę schodową, co urąga wszelkim zasadom higieny. Meble po prostu rozsypują się. Brak jest pomieszczenia na leżaczki i pomoce naukowe. Prośba dyrektorki (rzecz dotyczy ub. r. szk.) o niezbędne 50 tys. zł na poprawę istniejących warunków pozostała bez echa. Wyposażenie w pomoce naukowe przedstawia się tu groteskowo. Brak jest gier dydaktycznych, na 100 potrzebnych plansz jest zaledwie 7, a i te w opłakanym stanie, rzutniki zaś są zepsute. Dwa lata temu poprzedniczka obecnej dyrektorki wydała na pomoce naukowe 80 zł (słownie: osiemdziesiąt zł) — wobec czego w ub. r. zupełnie zlikwidowano budżet na te cele...

W Przedszkolu nr 258, przy ul. Obożnej 7 podobnie jak i w innych przedszkolach, skarżono się, że nie ma możliwości zakupu zarówno wielu pomocy dydaktycznych (zabawki, loteryjki nawet), jak i przedmiotów codziennego użytkowania. Przedszkole od paru lat nie może otrzymać na tzw. rachunek ręczników. Obecnie jego ręczniki liczą sobie tyle lat, ile jego najstarsi wychowankowie. Zbyt często zdarza się, iż na rachunki te sprzedawane są tylko bardzo niewielkie ilości towaru albo i to, że nieoczekiwanie w określonym sklepie ulega przerwaniu sprzedaż „na rachunek".

Powszechnie narzeka się na system zaopatrzenia w pomoce naukowe, sprzęt, artykuły, spożywcze. Dokucza bardzo brak środków lokomocji do przewozu żywności, bielizny do pralni, itp, itd. Nie mówię tu o takich sprawach, jak zbyt duża liczba dzieci w grupie (40 i więcej), nadmierne obciążenie personelu dodatkowymi obowiązkami itd., itd....

W RELACJI tej zawarłem tylko kilka przykładów trudnych warunków pracy przedszkoli w Śródmieściu stolicy. Mógłbym je mnożyć, jako że w Komisji Oświaty, Wychowania i Kultury RN znajduje się bogata dokumentacja z kilku takich placówek.

Apelując więc do Ministerstwa Oświaty i Wychowania o zainteresowanie się tą sytuacją miałem na uwadze fakt, iż bez przezwyciężenia opisanych trudności nie można stawiać przed tymi placówkami nowych, trudniejszych zadań w związku z reformą szkolną. W obecnej sytuacji bowiem chwalebne założenia nowej edukacji młodych Polaków pozostać mogą w centrum stolicy jedynie w założeniach teoretycznych i w pisemnych programach. Chyba, że coś się zmieni...

ANDRZEJ ŚWIECKI

CZAS WOLNY-CZAS PUSTY

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

na równi, ale widzę wspólny mianownik, bo jest to wybranie drogi najmniejszego oporu. Jedni wybierają telewizję, inni alkohol, niektórzy jedno i drugie, ale i telewizja, i alkohol to wybór mało pomysłowy. Wolne soboty wskazują wyraźnie na wzrost spożycia alkoholu, o czym, niestety, łatwo się przekonać nawet na oko, i ten wzrost jest nawet wyższy niż w niedziele, których tryb był modulowany tradycyjnie. Ten niespodziewany czy raczej nagły dar jakim jest wolna sobota otworzył jednocześnie pustkę, którą się wypełnia tym, co najłatwiejsze. Statystyczny Polak ogląda telewizję przez dwie godziny dziennie. W wolne soboty 75 proc. badanych odpowiedziało, że spędza czas przed telewizorem. Więc to jest przeważająca forma rozrywki i sposób spędzania czasu wolnego.

— Ale przecież ta alternatywa nie wyczerpuje możliwości.

— Oczywiście, że nie. Możliwości i potrzeb. Istnieją tzw. potrzeby nie uświadomione. Istnieje również dysproporcja między aspiracjami ludzi, a tym co im się podaje. Dysponuję wynikami badań z Bełchatowa, a więc z tej miejscowości, która jest poddana szybkiej industrializacji. Tam łatwo jest o powstanie tego **czasu pustego**, bo duże zgromadzenie ludzi w wieku produkcyjnym, w części oderwanych od rodzin, sprzyja temu. Otóż zaobserwowaliśmy wśród budowniczych Bełchatowa częste narzekania, że nie mają co robić z czasem — a z drugiej strony krytyczne uwagi organizatorów akcji socjalnej i życia kulturalnego wskazują na małe zainteresowanie imprezami. Więc albo te imprezy nie były dostosowane do potrzeb i oczekiwań, albo też ludzie nie potrzebowali w ogóle organizowanej kultury i rozrywki, ale nie chcieli się do tego przyznać. Te rozbieżności występują najczęściej w małych miastach, które nie dają możliwości wyboru. Poza tym narzekający często nie chce oderwać się od tradycyjnego sposobu spędzania czasu, nie chce spróbować czegoś innego albo też warunki rodzinne uniemożliwiają mu ten wybór. I wtedy pozostaje tylko telewizja.

— Dobrze, a jak widzi Pani wobec tego rolę placówek kulturalnych? Czy one mają tu coś do zrobienia?

— Powinny wyprzedzać odczuwane potrzeby. Powinny je kształtować. Tymczasem tak się dzieje, że z tych placówek korzystają przeważnie ludzie bardzo młodzi albo ludzie w wieku poprodukcyjnym. Natomiast ci, na których spoczywa cały trud produkcyjny, wśród których zresztą jest bardzo duży procent kobiet, ci korzystają z tych możliwości w stopniu nieporównanie mniejszym, bo utrudnia im to sytuacja rodzinna. I to się odnosi zarówno do kobiet, jak mężczyzn, którzy są wciągani coraz bardziej w orbitę spraw domowych albo też podejmują wtedy pracę dodatkową i ona im ten czas wolny odbiera.

— Więc jednak nie jest to problem czasu pustego.

— To raczej kwestia faktycznych braków takiej możliwości organizacji czasu wolnego, by można nim było właściwie pokierować, często samodzielnie. W moim przekonaniu, dla właściwej organizacji czasu wolnego, także w naszym, rozwiniętym społeczeństwie miejskim, bardzo ważna jest kwestia kontaktów osobistych. Żadna instytucja, nawet najbardziej dalekosiężna, tej sprawy nie załatwi w sposób korzystny, o ile nie będzie istniała **wspólnota kultury**. Nie może się ona ograniczać do rodziny, bo rodziny, zwłaszcza w dużych miastach, są coraz mniej liczne. Wspólnota sąsiedzka, zwłaszcza w miejscu zamieszkania, wydaje mi się bardzo pomocna w organizacji czasu wolnego. Są takie próby działalności klubowej w nowych osiedlach, np. na Ursynowie. Podobne próby, organizowane w Bełchatowie, załamały się wskutek zabrania pomieszczeń, które trzeba było przeznaczyć na inne cele.

— Przecież ta wspólnota kultury, o której Pani mówi, jest silnie osadzona w tradycji.

— Tak. Ta wspólnota zawsze bardzo dobrze regulowała czas wolny. Kontakty między ludźmi stymulowały zainteresowania kulturalne, tworzyły grupy odniesień, wyznaczające ambicje, podchwytujące modę, nawet snobizm — ale w pozytywnym sensie — i wtedy taka bezpośrednia, nieformalna wymiana bardzo wzmacnia doznania kulturalne, dostarcza czegoś więcej niż przeżycie rozrywkowe, umacnia poczucie zakorzenienia w społeczeństwie. Wtedy **czas wolny** nie jest **czasem pustym** w sensie poczucia osamotnienia, oderwania czy izolacji.

— A czy to również nie jest utopia, wymagać od ludzi więzi nieformalnej, gdy wszystko naokoło tak się formalizuje?

— Nie. W niektórych osiedlach mieszkaniowych, przy intensywnej i skutecznej pomocy, sądzę, że zaczątki takich więzi się już tworzą. W tym widzę — może nie panaceum — ale bardzo istotny środek na lepsze użycie czasu wolnego. Takiego, który nie zostawia człowieka w poczuciu osamotnienia — co próbuje się zagłuszyć, włączając coraz inne urządzenia elektroniczne: telewizor, radio, magnetofon czy magnetowid. To tylko namiastki. Człowiek potrzebuje wspólnoty z ludźmi poprzez przeżycia kulturalne, które obok potrzeb estetycznych realizują również potrzeby społeczne. Takiego czasu wolnego można by życzyć ludziom jak najwięcej. Żeby to nie był czas pusty, czas dotkliwie pusty...

Rozmawiał:
ANDRZEJ IBIS WRÓBLEWSKI

ZAMROŻONE ŻYCIE

I oto Amerykanie wynaleźli nieśmiertelność... Czy w roku 2000 jakikolwiek historyk będzie mógł to napisać? Dzisiaj zaczynają w to wierzyć nie tylko czytelnicy powieści science-fiction. A sprawiła to kriogenizacja, czyli koncepcja zamrażania żywego jeszcze ciała ludzkiego „w lodówce" do czasu, gdy nauka będzie w stanie rozwiązać problem chorób i starości. Publicystka „Le Nouvel Observateur" przeprowadziła na ten temat szereg rozmów. My drukujemy fragmenty dwóch z nich. Pierwsza, to wywiad z dr. Claude Broussouloux, autorem książki „Śmierć w zawieszeniu", który reprezentuje sceptycyzm, a w każdym razie realistyczny pogląd na tę sprawę. Druga — to wypowiedź Anatola Dolinowa, inżyniera fizyka, założyciela Towarzystwa Cryonics-France, który jest entuzjastą kriogenizacji.

★

— Niegdyś balsamowano zmarłych... Oczywiście tylko bogatych.

— Tak, ale zabalsamowanie nie daje obietnicy przebudzenia. Natomiast człowiek zamrożony czeka na zmartwychwstanie. W powieściach fantastyczno-naukowych często powtarza się zdanie, że ciała będą spoczywały w lodówkach aż do roku 2100. Amerykańscy futurolodzy właśnie na ten rok przewidzieli możliwość reanimacji, wyleczenia raka, odwrócenia procesu starzenia się. Trzeba przecież jakoś przyciągać klientów, tym bardziej, że zamrażanie bardzo drogo kosztuje. Ostatecznie kriogenizacja jest dzisiaj znacznie kosztowniejsza niż kiedyś metoda balsamowania zwłok. Człowiek, który dzisiaj zostanie poddany kriogenizacji, nie zmartwychwstanie nigdy. Zatrzymanie życia bez równoczesnego zniszczenia struktur życiowych nie jest jeszcze osiągalne. To tylko marzenie.

— Co można już dzisiaj osiągnąć przez zamrażanie?

— Można zamrozić niektóre organy, aby zwolnić tempo ich funkcjonowania lub powstrzymać proces ich rozkładu. Chirurdzy stosują też ograniczone oziębienie miejscowe, aby zmniejszyć ruchomość i krwawienie żołądka lub serca. Kriogenizacja polega jednak na czymś innym. Jest to długa konserwacja komórek przy bardzo niskiej temperaturze, po ponownym ogrzaniu wszystkich ich czynności fizyko-chemicznych, ale przy jednoczesnym zachowaniu nienaruszonej struktury. Kriogenizacja jest urzeczywistnieniem rzeczy niemożliwej: zatrzymaniem czasu w toku życia. W ubiegłym roku cała prasa pisała o wielkim osiągnięciu medycyny: u chorych na białaczkę pobrano w okresie remisji zdrowe komórki szpiku kostnego i następnie zamrożono je w temperaturze 196° poniżej zera. W trzy miesiące później, gdy u pacjentów nastąpił nawrót choroby, napromieniowano ich chory szpik aż do całkowitego jego zniszczenia, potem wstrzyknięto im ponownie odmrożone zdrowe komórki. Tak więc byli to pierwsi ludzie, którzy mają w swym organizmie cząsteczkę życia młodszego od nich o 3 miesiące! Kriogenizacja zmieniła już zresztą dzieje kilku fragmentów naszego ciała, np. rogówki oka, otoczki nerwów, szpiku, skóry, spermy.

— Tak więc można już dzisiaj zamrażać człowieka, ale tylko „we fragmentach". Zamrażanie całego człowieka jest jeszcze kwestią nie rozwiązaną?

— Tak, ale wydaje mi się, że wyobrażenie sobie dzisiaj, iż w roku 2100 będzie można człowieka zamrażać i rozmrażać nie jest wcale bardziej śmiałe niż wyobrażenie sobie w 1920 roku, że dwóch mieszkańców Ziemi będzie spacerować po Księżycu. Niemniej jednak nie będzie to sprawa prosta. Trzeba bowiem pamiętać, że nasze organy i tkanki nie mogą być zamrażane z jednakową szybkością. Można jednak założyć, że pewnego dnia, dzięki zastosowaniu wielkiej ilości super cienkich sond połączonych z komputerem, w którym będą programowane wszystkie właściwości ciała ludzkiego — będzie można to w końcu osiągnąć.

— Załóżmy więc, że problem będzie rozwiązany, że będzie już wiadomo jak zamrażać, a następnie „rozgrzewać" człowieka. Co dalej?

— Aby człowiek mógł zostać rozmrożony jako żywy, musiałby on zostać zamrożony w stanie żywym. Kriogenizacja nie zapewnia ani nowego życia, ani przedłużenia jego trwania. Jest to po prostu „odłożona na bok" część życia. Gdybym chciał mieć moje obecne 40 lat w roku 2000, musiałbym już dzisiaj zacząć „odkładać się na bok". Wówczas, przez 22 lata, czas innych upływałby obok mnie, a we mnie ten czas by się zatrzymał. W roku 2000 przekroczyłbym o 22 lata czas mojej śmierci, która zamiast w roku, powiedzmy 2013, nastąpiłaby w roku 2035. Tak więc, zrealizowałbym odwieczne marzenie ludzkości o podróży w czasie.

★

— Nazywają mnie oszustem, wariatem! Rzadko kiedy mogę spokojnie wyłożyć moje poglądy.

— Dlaczego?

— Kocham życie, brzydzę się śmiercią, a ponieważ jestem ateistą, nie mogę liczyć na zmartwychwstanie. Kiedy spostrzegłem, że otwiera się przede mną jakaś szczelina, natychmiast się w nią wśliznąłem. Mój trup nic przecież na tym nie straci.

— Ale może też nic nie zyska? Przecież kriogenizacja ciała jest jeszcze w sferze projektowania?

— Istotnie, jest ona jeszcze w sferze projektów nawet w USA, gdzie uczeni dysponują już aparatem kroplówkowym o wielokrotnym programie, umożliwiającym zastosowanie 5 rodzajów zamrażania.

— Czy zamrażanie przeprowadza się w szpitalu?

— Tak. W USA są dwa towarzystwa kriogenizacyjne — kalifornijska Trans Time i Towarzystwo profesora Roberta Ettingera, fizyka z Detroit, który wylansował tę koncepcję w 1964 r. Myślał on o tym od czasu ostatniej wojny, w której brał udział. W czasie bitwy w Ardenach został ranny, a w szpitalu, gdzie był leczony, zaobserwował, że chirurdzy używają do transfuzji krwi oziębionej do 4°. Powiedział sobie wówczas, że skoro można zakonserwować żywe krwinki trzymając krew w lodówce, to można by to samo zrobić z innymi tkankami, a nawet z całym ciałem. Przez 20 lat Ettinger zachował swe odkrycie dla siebie sądząc w swej skromności, że kiedyś poruszy tę sprawę ktoś bardziej kompetentny od niego. Ale nikt nie wystąpił z taką koncepcją i w końcu Ettinger zdecydował się opublikować swe wnioski w książce pt. „Perspektywa nieśmiertelności". Nie miała ona wielkiego rozgłosu. Pierwszy klient, Bedford, został umieszczony w kapsule staraniem niewielkiego Towarzystwa, założonego przez Ettingera zupełnie bezinteresownie.

— Ilu jest zamrożonych w Ameryce?

— Dwudziestu sześciu plus Walt Disney, o ile rzeczywiście dał się zamrozić.

— Czy nie sądzi pan, że pański człowiek z lodówki jest mniej „elastyczny" i być może mniej trwały? Czy dobre zamrożenie jest jakąś gwarancją?

— Obliczyłem na podstawie prawa Arrheniusa, że zjawisko fizyko-chemiczne, które trwa 2/10 000 sekundy przy 37°C trwać będzie 6 miliardów lat przy 196° poniżej zera. Czyż więc człowiek z lodówki nie będzie miał czasu czekać na postęp medycyny, który umożliwi jego wskrzeszenie? Oczywiście, trzeba systematycznie zastępować ubywający azot — ok. 4 litrów dziennie.

— Tak więc nie-zmarły pochłonie całą fortunę spadkobierców?

— To jest właśnie jedyny problem. Obecnie we Francji kriogenizacja kosztowałaby od 10 do 15 milionów centimów z tytułu opłat stałych, plus 3 tys. franków miesięcznie z tytułu kosztów konserwacji. Do roku 2100 trzeba by mieć kapitał w wysokości 100 milionów. W Ameryce mówi się o 50 tys. dolarów, ale obawiam się, że klient za 50 tys. dolarów rozmroziłby się przed czasem.

Oprac. K.L.

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Choroba ośmiu milionów

we ich obciążenie. Polega ona na zniszczeniu chrząstki stawowej i wtórnej reakcji tkanki kostnej.

Wczesnym **stadium choroby** zwyrodnieniowej kręgosłupa jest tzw. **dyskopatia.** Schorzenie to polega na uszkodzeniu krążka międzykręgowego (elastyczny krążek znajdujący się pomiędzy trzonami kręgów). Znajdujące się wewnątrz krążka jądro galaretowate wysuwa się pomiędzy uszkodzone struktury krążka i może powodować ucisk na przebiegające w sąsiedztwie korzonki nerwowe. Schorzenie to określane jest na ogół przez pacjentów jako „korzonki". Jest to bardzo rozpowszechniona obecnie choroba, głównie ludzi młodych, powodująca dużą absencję w pracy. Wypadnięcie jądra galaretowatego zwiększa ucisk w odcinku lędźwiowym kręgosłupa. Choroba ta może zaatakować także inne odcinki kręgosłupa.

Następna grupa chorób reumatycznych to **gościec tkanek miękkich,** czyli tkanek okołostawowych, ścięgien i mięśni. Przyczyną tej choroby jest głównie brak treningu i przeciążenie układu mięśniowo-ścięgnistego na skutek urazów dnia codziennego lub nadmiernego obciążenia. Około 20 proc. ludzi cierpi na tę chorobę. Są to raczej ludzie młodzi, lecz może ona występować niezależnie od wieku.

JAK można zapobiegać chorobom reumatycznym?

Nie potrafimy jak dotąd skutecznie zapobiegać powstaniu tych chorób, których przyczyna jest nieznana. Dotyczy to więc zarówno reumatoidalnego zapalenia stawów, jak i zesztywniającego zapalenia stawów kręgosłupa. Możemy jednak zapobiegać dalszemu ich rozwojowi, a przede wszystkim opóźnić wystąpienie ich objawów przez systematyczne uprawianie gimnastyki i sportów.

Leczenie chorób reumatycznych jest skomplikowane ze względu na ich różnorodną etiologię i różny przebieg. Należy jednak podkreślić, że w każdym przypadku jest to leczenie kompleksowe, w skład którego wchodzi: leczenie ruchem, czyli tzw. kinezyterapia, fizykoterapia, balneoterapia i farmakoterapia. Lekarze mają do dyspozycji szeroki wachlarz leków. Działanie ich jest wielokierunkowe i o wyborze musi decydować wyłącznie lekarz, gdyż niektóre z nich mają znaczne działanie uboczne. Jest kilka grup tych leków.

Niesterydowe leki przeciwzapalne, na przykład salicylany, pyrazolony, pochodne kwasu proprionowego, pochodne kwasu indolooctowego i inne oraz środki regulujące odpowiedź immunologiczną ustroju — hormony kory nadnerczy, leki immunodepresyjne i immunostymulacyjne, a także sole złota, stosowane zwłaszcza w reumatoidalnym zapaleniu stawów (jak dotąd, jest to najlepszy lek przeciw tej chorobie). Przeciw gośćcowi tkanek miękkich podaje się ponadto leki rozluźniające mięśnie.

Przy dyskopatii zasadnicze znaczenie mają odpowiednio dobrane ćwiczenia gimnastyczne wzmacniające głównie mięśnie brzucha, przykręgosłupowe i kończyn dolnych. Ponadto przed rozpoczęciem pracy wymagającej dużego wysiłku fizycznego, jak na przykład dźwigania ciężarów, pracownik powinien być zaznajomiony ze sposobem wykonywania pracy, tak by nawet duże obciążenie kręgosłupa nie spowodowało dyskopatii. W niektórych przypadkach, a przede wszystkim wtedy, gdy doszło do wypadnięcia jądra galaretowego i dużego ucisku na korzenie ruchowe (niedowłady mięśniowe), konieczna jest operacja.

W związku z tym, że leczenie chorób reumatycznych musi mieć charakter kompleksowy, bardzo korzystne jest leczenie uzdrowiskowe, które ma zresztą długoletnią tradycję i które stosowano już wówczas, gdy znacznie mniej było wiadomo o charakterze tych chorób. Według opinii Instytutu Reumatologicznego, chorzy, którzy systematycznie korzystają z kuracji uzdrowiskowej, znacznie dłużej zachowują sprawność i rzadziej skarżą się na bóle. Przedłuża więc ono zdolność do pracy, zapobiegając inwalidztwu.

W przypadku, gdy leczenie zachowawcze nie daje zadowalających wyników, stosuje się obecnie zabiegi chirurgiczne. Operacje profilaktyczne w reumatologii polegają na wczesnym wycięciu tzw. błony maziowej stawów, w celu niedopuszczenia do dalszego niszczenia stawów. Przeprowadza się je obecnie u chorych na reumatoidalne zapalenie stawów. W przypadku deformacji, powodujących kalectwo, zabiegi chirurgiczne mają na celu zmniejszenie inwalidztwa. Osiągnięciem ostatnich lat są endoprotezy, które pozwalają na uruchomienie stawów od lat już usztywnionych. Dla niektórych chorych niezbędny jest sprzęt ortopedyczny: obuwie ortopedyczne, laski, kule, gorsety ortopedyczne, a czasem, niestety, wózki inwalidzkie, jeśli nie udało się zapobiec poważniejszemu kalectwu albo zaczęto leczenie zbyt późno.

Wypadki takie jeszcze ciągle się zdarzają, przy czym dotyczy to zwłaszcza ludności wiejskiej, która dopiero od niedawna jest ubezpieczona i nie ma jeszcze wyrobionego nawyku zasięgania porady lekarskiej zanim dojdzie do poważniejszej choroby lub zanim objawią się jej skutki. Obecnie jednak jest znaczny postęp w tej dziedzinie, m. in. dzięki działalności dawnego Związku Młodzieży Wiejskiej, a obecnie ZSMP, które zajęło się wyszukiwaniem młodzieży niepełnosprawnej i pomaga jej w uzyskaniu właściwego leczenia oraz rehabilitacji.

POLSKA może się pochwalić dobrze zorganizowanym lecznictwem reumatologicznym. Jesteśmy jednym z niewielu krajów, które zbudowały nowoczesny Instytut Reumatologiczny, cieszący się bardzo wysoką opinią zarówno jeśli chodzi o poziom badań naukowych, jak i wiodącą rolę, którą odgrywa w organizacji lecznictwa reumatologicznego. Instytut jest konsultantem krajowym dla lekarzy w tej dziedzinie. Przy współpracy Centrum Medycznego Szkolenia Podyplomowego organizuje dla nich kursy i dba o to, by najnowsze metody zarówno leczenia, jak i rehabilitacji dotarły w teren.

Instytut od wielu już lat kładzie specjalny nacisk na leczenie ruchem, które w przypadku schorzeń narządu ruchu ma ogromne znaczenie. Stosując bowiem specjalną gimnastykę, można w większości przypadków zapobiec inwalidztwu na skutek reumatyzmu, a także zmniejszyć dolegliwości z nim związane. Instytut opracował metody rehabilitacji przy wszystkich chorobach reumatycznych, wydał odpowiednie materiały dla lekarzy i pacjentów. Ostatnio ukazała się książka ordynatora jednego z oddziałów reumatologicznych Instytutu — odc. Marii Sadowskiej Wróblewskiej i prof. AWF we Wrocławiu Adama Rosławskiego, „Reumatyzm twój wróg, sport — twój przyjaciel — ćwiczenia rekreacyjne, zalecane przy schorzeniach reumatycznych". Jest ona przeznaczona dla chorych, dla lekarzy i dla nauczycieli wychowania fizycznego. Można w niej znaleźć szczegółowe wskazówki dotyczące samodzielnych ćwiczeń w domu w przypadku każdego rodzaju choroby reumatycznej, w zależności od tego, jak atakuje ona narząd ruchu. Jest to więc nieoceniony poradnik. Szkoda, że wyszedł w nakładzie zaledwie 20 tysięcy egzemplarzy i natychmiast znikł z księgarń.

ALICJA DMUCHOWSKA

WARTO
— przejrzeć
— przeczytać
— kupić

SŁOWNIK WYMOWY POLSKIEJ. Redakcja naukowa: Mieczysław Karaś i Maria Madejowa; PWN 1977; nakład — 30 000 egz., str. — 564, cena — zł 200.

W dziejach naszej leksykografii jest to pierwsza próba zapisania wymowy polskiej. Wydawnictwo tym cenniejsze, że w rezultacie przemian społecznych, do warstw wykształconych (a więc niejako normujących zwyczaje, również językowe) wchodzi coraz więcej przedstawicieli inteligentów pierwszego pokolenia, którym dom i szkoła nie mogły wpoić zasad obowiązującej wymowy. Ci ludzie, jeśli nawet mają wątpliwości w tej mierze, nie mogą się na niczym oprzeć.

Słownik ten niedostatek usuwa.

W jakim stopniu będzie on przydatny dla szerszych warstw użytkowników, pokaże przyszłość. Ze względu na to, że jest pierwszy, musi być uniwersalny, a więc musi uwzględniać te zasady transkrypcji, które będą zrozumiałe dla wszystkich. Redaktorzy, podając wymowę, oparli się więc na międzynarodowym systemie transkrypcji fonetycznej, który wymaga stosowania wielu znaków, nie występujących w alfabecie łacińskim. Stąd może wyniknąć trudność dla użytkownika nie obznajmionego z tym systemem.

Kto wie, czy nie należałoby pomyśleć o szybkim opracowaniu uproszczonego, podręcznego słownika dla szerokich rzesz odbiorców w kraju. Bo, jak napisał we wstępie prof. Mieczysław Karaś: „Ofiarujemy nasz Słownik całemu społeczeństwu, głównie zaś szkole i młodzieży polskiej, ku chwale i miłości mowy ojczystej" — a jest to cel godny wielu zróżnicowanych zabiegów.

(AW)

ROZKOSZE ŁAMANIA GŁOWY

DZIEKAN ZABACKI
(zadanie za dwa punkty)

Profesor Żabacki został mianowany dziekanem jednej z Wyższych Uczelni Wyspy Zagadkowej. Przybyli do niego przedstawiciele Instytutu Logiki Niestosowanej, aby zgodnie z obowiązującymi na uczelni zwyczajami przedstawić się. Byli to panowie Abel, Babel, Cabel, Dabel, Ebel i Fabel, których Żabacki dotąd nie znał, ale wiedział, że każdy z nich jest albo profesorem, albo docentem, albo doktorem i że każdy doktor musi podlegać bezpośrednio jednemu docentowi, każdy natomiast docent jednemu profesorowi.

Panowie przedstawili się kolejno:
— Jestem Cabel. Dabel posiada ten sam stopień naukowy co ja, a Abel o jeden stopień wyższy od nas.
— Nie jestem przełożonym Fabela. Babel i Ebel mają taki sam stopień. Cabel stoi o stopień wyżej ode mnie.
— Jestem profesorem. Nikt nie ma więcej niż dwóch podwładnych. Nie jestem w ogóle przełożonym jakiegokolwiek przełożonego.
— Jestem Abel. Jestem docentem. Pan Dabel jest przełożonym Cabela.
— Nikt w naszym instytucie nie ma takiego stopnia jak ja. Fabel stoi o dwa stopnie wyżej ode mnie. Moim przełożonym jest Dabel.
— Panowie Abel i Dabel mają wspólnego przełożonego. Ja jestem przełożonym przełożonego pana Fabela. Babel i ja mamy jednakowy stopień.

Panowie skończyli, a Żabacki z zażenowaniem przyznał:
— Niestety, mimo tylu informacji nie jestem w stanie zorientować się co do panów układów służbowych.

I rzeczywiście nie mógł, nie wiedział bowiem, że z trzech wypowiedzi każdego z panów są prawdziwe wszystkie wypowiedzi profesora, dwie docenta i jedna doktora.

Proszę podać stopnie naukowe panów, którzy przybyli do Żabackiego, oraz ich zależność służbową.

ROZWIĄZANIE ZADANIA
OKRĄGŁA WYSPA

Szosa łącząca bezpośrednio Amaku z Camaku ma 68 km.

☆

Zadanie „Sejf" ukaże się w nowej redakcji. Przepraszamy.

Poczta „Życia i Nowoczesności"

„To nie margines"

Z głębokim przejęciem czytałam artykuł Joanny Horodeckiej w nr 407 „Życia i Nowoczesności", zatytułowany „To nie margines". Przez 11 lat pielęgnowałam moją matkę, która w wieku 72 lat złamała kość biodrową i mimo długotrwałego leczenia pozostała kaleką, dożywszy jednak 83 lat. Zdaję więc sobie w pełni sprawę czym są problemy codziennego życia dla osób niepełnosprawnych i co w związku z tym przeżywają rodziny. Przez 11 lat całe moje życie podporządkowane było pewnemu określonemu rytmowi życia mojej matki. Uważałam to za oczywiste i naturalne, ale najwięcej z tego powodu cierpiała moja matka, zdając sobie sprawę, że nie zawsze było łatwo zrezygnować mi z wielu normalnych w końcu przyjemności, odpoczynku itd. tylko dlatego, że nie sposób było znaleźć kogokolwiek kto mógłby mnie wyręczyć w sposób kompetentny. Były właśnie nieprzystosowane łazienka i sedes, trudności z przejściem przez drzwi (matka moja poruszała się przy pomocy podpórki na kółeczkach), nie było mowy o jakimkolwiek korzystaniu z przyjemności miasta, choć do końca Mama zachowała znakomitą sprawność umysłu, zainteresowania i wyjątkową cierpliwość.

W ciągu tego 11-letniego okresu raz tylko zajrzała b. miła opiekunka domowa (czy społeczna) i stwierdziwszy, że istnieje, uznała stan ten za znakomity, bo na pewno był lepszy niż w przypadku ludzi samotnych. Na szczęście jako prac. naukowy miałam większą swobodę czasową od np. urzędniczki czy robotnicy, ale odbiło to się na mojej pracy naukowej sensu stricto. Powtarzam — wypełniałam swój obowiązek, płynący poza tym z najbardziej naturalnej potrzeby serca, ale można by już wreszcie pomóc ludziom w podobnej sytuacji. (...)

W ub. roku widziałam w Paryżu dwa autokary japońskie stojące przed Luwrem, z nich wynoszono, lub wysuwano na specjalnych wózeczkach młodych ludzi, którym miano zamiar pokazać muzeum. Trzeba było widzieć troskliwość opiekunów, naturalność tych młodych inwalidów, świetnie zastosowane ułatwienia techniczne. Stałam, przyglądając się dyskretnie, głęboko przejęta i wzruszona. A więc jednak można! Widziałam też jak wygląda opieka nad starymi, chorymi samotnymi ludźmi w Danii. Zazdrość bierze. Że te kraje bogatsze, że mają wyższe potrzeby? No, nie wiem czy to argument. Może jednak za mało uświadamiamy naszemu społeczeństwu, że i wśród nas żyją nieszczęśliwi ludzie, może zbyt pochopnie pozwalamy na rozwijanie się egoizmu, dorobkiewiczostwa tak bardzo nie licujących z założeniami systemu, który przecież już w swojej samej nazwie zawiera hasło i założenia systemu społecznego, bo socjalistycznego. Czy po drodze nie gubimy wielkich wartości? Potępiamy dawną filantropię, a może jednak trzeba by było odwoływać się częściej nie tylko do państwowej pomocy społecznej, ale i do prywatnej ludzkiej inicjatywy? Przecież w wielu z nas drzemią zasoby chęci dopomożenia dotkniętym przez los (...)

Dodam jeszcze, że podczas swego kalectwa matka moja była zmuszona dwukrotnie przebywać w szpitalu. Były to dla niej, bez przesady, straszliwe przeżycia. Toteż kiedy w ostatniej chorobie (7 tygodni) leżała bezwładna, już z odleżynami, kiedy tym razem nadludzkim wysiłkiem przy pomocy przyjaciół, pielęgnowałam ją w domu, z jakąż zazdrością myślałam o tym, że np. we Francji można w podobnych wypadkach *wypożyczać* specjalne łóżka dla chorych ułatwiające pielęgnację w domu. I równocześnie z goryczą myślałam sobie, że zaproponowanie produkcji podobnych urządzeń natrafiłoby natychmiast na tysiące przeszkód. Pociesza mnie jednak fakt, że już się głośno o tych sprawach mówi, że istnieje już grono ludzi, którzy w pełni wiedzą o co chodzi. Oby było ich coraz więcej, aby nie przyszło nam czekać zbyt długo na rezultaty ich poczynań, obyśmy mieli przed oczyma nieszczęścia ludzkie — i chorych, kalekich osób, i ich najbliższych.

T. J.
Wrocław
(nazwisko i adres znane redakcji)

Gospodarność w energetyce

W artykule „Energetyka jądrowa krajów RWPG" (ŻiN z dnia 23.II.br.) red. T. Podwysocki wspomniał o „opracowanej w Polsce metodzie racjonalnego rozruchu i zatrzymywania kotłów i turbin, umożliwiającej oszczędność węgla rzędu 12 000 ton p.u. oraz o oszczędzeniu z tego tytułu 20—40 000 marek w NRD".

Jest to raczej harmonogram czynności przy prędkich i powolnych uruchomieniach i odstawieniach bloków energetycznych. Wprowadzono go w Stanach Zjednoczonych w celu zaoszczędzenia czasu na te czynności (droga robocizna), potrzebnego ze względu na dwa szczyty w ciągu dobowego elektrycznego obciążenia systemu energetycznego oraz odstawiania i uruchomienia bloków na dni wolne od pracy. Czas ustalony na te czynności wiąże się z zaprogramowanym do- i odprowadzaniem ciepła do bloku, by uniknąć nadmiernych, szkodliwych naprężeń w elementach bloku. Im blok jest prościej zbudowany, tym krócej trwa rozbieg i wybieg. Bloki podstawowe uruchamia się wolno, szczytowe prędko — w ciągu 20—30 min. Ponieważ do- i odprowadzanie ciepła jest zaprogramowane, stąd osiąga się przy okazji pewną oszczędność paliwa.

Harmonogram tego rodzaju jest stosowany w Europie i u nas. W kraju dużo pracy w tym kierunku poświęcił Instytut Energetyki. Harmonogram jest stosowany u nas w przypadku bloków podstawowych, a więc rzadko odstawianych i uruchamianych w ciągu roku. Bloków szczytowych u nas nie ustawia się, z wyjątkiem dwóch nieczynnych w Pątnowie, zbudowanych na paliwo ciekłe. Stąd i podana oszczędność na paliwie 12 000 t p.u. (w jakim czasie?) wydaje się przesadzona.

Wobec podkreślenia przez red. Podwysockiego tej oszczędności, pozwalam sobie zwrócić uwagę na zagadnienie niepomiernie ważniejsze, a mianowicie na straty, jakie kraj ponosi na skutek spalania kiepskiego węgla kamiennego w elektrowniach krajowych.

Kocioł nowego bloku projektuje się na paliwo wskazane przez Centralę Zbytu Węgla. Od chwili rozpoczęcia prac projektowych do uruchomienia bloku upływa 7—8 lat. W momencie uruchomienia bloku elektrownia otrzymuje zupełnie inny węgiel niż zaprojektowany, co pociąga za sobą zmniejszenie mocy nominalnej, spadek elastyczności kotła, zwiększenie masy paliwa przepływającego przez urządzenia bloku, tj. podajniki, zasobniki, młyny, palenisko, kanały, elektrofiltry, komin. Jest to powodem nadmiernego szlifowania, zdzierania elementów, zapopielania powierzchni i nalepiania się brył żużla (spadek bryły żużla w „Dolnej Odrze" w czasie szczytu w dniu 16.II. zgasił palniki) i zapylania otoczenia. Obsługa kotła i urządzeń pomocniczych staje się uciążliwa, wzrasta zużycie energii na napęd urządzeń pomocniczych, a ilość zużywanego paliwa zwiększa się. Pomniejszenie mocy utrudnia pokrycie zapotrzebowania szczytowego energii, powstaje konieczność wyłączeń zakładów przemysłowych, powiększająca straty i koszty do wielkości trudnej do określenia.

Od 1985 r., jeżeli nie będzie poślizgu, energetyka będzie ustawiać bloki o mocy ok. 600 MW, opalane węglem kamiennym o wartości opałowej ok. 3800 kcal/kg. W RFN, blok taki, opalany węglem o wartości opałowej 6200 kcal/kg, przy obciążeniu 4/4 i pracy 6000 godzin w roku, spala 1 200 000 t/rok. Taki sam blok, w tych samych warunkach pracy, ale opalany węglem 3800 kcal/kg, spali 2 022 000 t węgla w roku, tj. o 822 000 t/rok więcej. Dla pokrycia tego podwyższonego zużycia kopalnia musi pracować o ok. 82 dniówki dłużej, trzeba załadować i wyładować o ok. 20 500 wagonów więcej w roku oraz wyprawić i przyjąć w elektrowni o 412 pociągów więcej. Aby spalić tę nadwyżkę węgla kiepskiego, trzeba urządzenia bloku — od placu węglowego po wylot komina — rozbudować, co pociąga dodatkowe koszty inwestycyjne i zużycie materiałów w porównaniu z blokami zbudowanymi z założeniem spalania węgla 6200 kcal/kg. Jeżeli zaś Centrala Zbytu Węgla skierowałaby węgiel gorszy od 3800 kcal/kg, kłopoty i koszty zwiększyłyby się w sposób podany wyżej.

Elektrownie pracujące na węglu brunatnym są w lepszym położeniu, bo jakość tego węgla nie zmienia się tak znacznie. A więc kraj mający wielką bazę węglową spala kiepski węgiel, wpędzając się w wiele kłopotów technicznych i ogromne koszty. Wbrew wszelkim zasadom ekonomicznym.

Żadna zmiana technologii spalania w tym przypadku nie może pomóc.

Prof. T. WRÓBLEWSKI
Wrocław

Dewastacja parku

Park Sołacki w Poznaniu został założony w 1907 r. na pustych terenach bagiennych i podmokłych, ciągnących się wzdłuż rzeczki Bogdanki. Swobodnie rozrzucone grupy drzew i krzewów, rzeczka i stawy stwarzają krajobrazy na wzór wolnej przyrody. Założony z dala od centrum miasta dotąd zachował ten charakter parku angielskiego. Siedemdziesiąt lat rozwoju pozwoliło na wykształcenie pięknego wielogatunkowego zadrzewienia, choć zbyt rygorystyczne usuwanie drzew, rzekomo zagrażających przechodniom, już w minionych latach przerzedziło drzewostan i poczyniło niepożądane luki.

Park Sołacki tworzy całość z Parkiem Golęcińskim i Ogrodem Dendrologicznym Akademii Rolniczej — rozdziela je ul. Niestachowska. Tworzą one tzw. zachodni klin zieleni, który od 1946 r. podlega ochronie krajobrazowej na podstawie rozporządzenia wojewody poznańskiego. Ogród Dendrologiczny powstał w 1920 r. dzięki powiększeniu i przekształceniu starego parku dworskiego. Niektóre drzewa liczą ponad 100 lat. Przy ul. Niestachowskiej rósł m.in. brzęk, jedyny okaz tego gatunku w Poznaniu (nie wiem czy go wycięto). Poszerzaniu tej ulicy towarzyszy dosłownie rzeź drzew. Czy przy budowie ulicy dopuszczalne jest dewastowanie starego zabytkowego parku?

WOJCIECH ŚMIGIELSKI
Poznań

Głosy w obronie pięknego poznańskiego parku pojawiły się już w prasie wojewódzkiej, gdzie przeciw dewastacji tej cennej zieleni (wycięcie ponad 1000 drzew) protestowali naukowcy Instytutu Biologii Uniwersytetu Adama Mickiewicza.

Wiele ulic w miastach wymaga poszerzenia, ale wprowadzenie autostrad w głąb miasta (a 100-metrowa jezdnia — to już autostrada) nie tylko powoduje często wielkie szkody w zieleni miejskiej, ale również stwarza wielką uciążliwość dla mieszkańców pobliskich domów. Autostrada powinna miasto omijać, a wówczas nie dochodzi do takich szkód, jak obecnie w Poznaniu. Układy komunikacyjne w miastach są bardzo ważne, ale również ważna jest zieleń miasta, którą często specjaliści od komunikacji traktują lekceważąco. (I. J.)

Plan wykładów Wszechnicy Polskiej Akademii Nauk w okresie od 20 do 26.IV.1978 r.

Cykl:
Najnowsze Osiągnięcia Nauki

20.IV. Prof. dr Jerzy KROH „Elektrony w chemii radiacyjnej"

20.IV. Prof. dr Wacław SZUBERT „Współczesne problemy prawa pracy"

21.IV. Prof. dr Bohdan PASZKOWSKI „Technologia światłowodów"

21.IV. Prof. dr Leszek KASPRZYK „Problemy nauki i techniki w działalności ONZ"

24.IV. Prof. dr Kazimierz ROMANIUK „Optymalne struktury i procesy demograficzne"

24.IV. Prof. dr Leon ŁUKASZEWICZ „O teorii informatyki"

25.IV. Prof. dr Mieczysław CHORĄŻY „Organizacja i funkcja aparatu genetycznego zwierząt wyższych"

Cykl:
Człowiek i środowisko

25.IV. Prof. dr Stefan JARZĘBSKI „Podstawy inżynierii środowiska"

Cykl:
Nauka a postęp produkcji rolnej

26.IV. Prof. dr Jan GLIŃSKI „Woda i gleba a wzrost produkcji rolnej"

Cykl:
Nauki medyczne — wybrane zagadnienia

26.IV. Prof. dr Tadeusz CHRUŚCIEL „Zależności lekowe"

Wykłady odbywają się w Pałacu Staszica, Nowy Świat 72, o godzinie 17,00.